ZBRODNIA KATYŃSKA

DROGA DO PRAWDY

Historia
Archeologia
Kryminalistyka
Polityka
Prawo

pod redakcją MARKA TARCZYŃSKIEGO

NIEZALEŻNY KOMITET HISTORYCZNY BADANIA ZBRODNI KATYŃSKIEJ
DEPARTAMENT PROKURATURY MINISTERSTWA SPRAWIEDLIWOŚCI
TOWARZYSTWO NAUKOWE KRYMINALISTYCZNE
WOJSKOWY INSTYTUT HISTORYCZNY

WARSZAWA 1992

ZESZYTY KATYŃSKIE nr 2

Redaktor: Janina Snitko-Rzeszut
Projekt okładki: Krystyna Tarkowska
Opracowanie szkiców: Andrzej Aksamitowski
Kreślenie szkiców: Bożena Tomczyk
Wykonanie zdjęć: Aleksander Załęski
Zdzisław Peszkowski
Włodzimierz Dusiewicz

Zdjęcia archiwalne pochodzą ze zbiorów NKHBZK, Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego KG Policji oraz Jacka Trznadla i Jędrzeja Tucholskiego

© Copyright by Zeszyty Katyńskie

JACEK TRZNADEL
Warszawa

ROSYJSCY ŚWIADKOWIE KATYNIA (1943—1946—1991)

Trzeba wyraźnie powiedzieć: jeśli Katyń był dziełem rosyjskim, w sowieckim wydaniu oczywiście, to w jego ujawnieniu główną rolę odegrali także Rosjanie. Może jeszcze dobitniej: bez Rosjan, a nawet antysowieckiej grupy w Gniezdowie, w której pierwszą rolę — pod tym względem — odegrał Iwan Kriwoziercow, nie byłoby wykrycia Katynia, cała sprawa zostałaby rozmyta w kłamstwach sowieckiej dyplomacji o zagubieniu się jeńców w nieskończonych przestrzeniach imperium, klęsce i chaosie zawieruchy wojennej etc. Gdyby Kriwoziercow, obolały po zgładzeniu jego ojca przez NKWD, nie pokłócił się z tłumaczem lejtn. Vossa z policji polowej, tego samego Vossa, który sygnował potem oficjalne komunikaty niemieckie o Katyniu, minęłoby jeszcze kilka miesięcy i Las Katyński objęłoby znów w niepodzielne panowanie NKWD. Ale to Kriwoziercow krzyknął tłumaczowi Vossa, że Sikorski szuka swoich oficerów na Syberii, a oni leżą tu, zastrzeleni w Kozich Górach. Znaczyło to także, iż trzeba z tym coś zrobić! Tłumacz nie powiedział nic, ale musiał przekazać rzecz, komu trzeba, bo niedługo potem zaczęto rozkopywanie grobów. Było to w drugiej połowie lutego 1943 r. Dalszy ciąg znamy.

Inicjatywa Kriwoziercowa była tym bardziej istotna, że — jak dzisiaj coraz więcej wiemy — polski wywiad nie kwapił się do podjęcia sprawy zaginionych oficerów, a może nawet zatajał i odsuwał nadchodzące meldunki. Nie budzi już dziś najmniejszej wątpliwości, że można to określić co najmniej jako zaniechanie. Pisałem o tym osobno [1]. Podam tylko jeden przykład. Jeśli Stanisław Swianiewicz już w czerwcu 1942 r. meldował o miejscu wyładowania zaginionych oficerów z Kozielska

[1] *Katyń a wywiad polski. Zaniedbanie czy celowe przemilczenie?* „Polska Zbrojna" 1990/91, nr 54 (29 XII—1 I). Wiarygodna relacja Zbigniewa Koźlińskiego, ogłoszona przeze mnie *(Wiedziałem o zbrodni katyńskiej od czerwca 1940,* „Puls" 1990, nr 46—47), każe przyjąć, że w Warszawie wiedziano o Katyniu już w czerwcu 1940.

i nikt z władz polskich w Londynie nie spowodował wysłania pod Smoleńsk jednostek wywiadu, to nie jest to tylko błąd służbowy. To karygodne zaniedbanie moralne i historyczne. Ile odpowiedzialności za to spada na gen. Sikorskiego, który krytykował sanację za autorytaryzm, a sam rządził despotycznie, o tym jeszcze zapewne historycy będą dyskutować.

Później stanowisko polskiego Londynu, a więc i tych, którzy decydowali o ostatecznym opracowaniu białej księgi w sprawie Katynia [2], było po trosze związane z tą kwestią. Ale chodziło o coś jeszcze: o eliminowanie wszystkiego, co — po linii narzucanych przez Zachód wymagań — budziłoby obawy, że może tu chodzić o nastawienie antyrosyjskie (w sensie: przeciw „naszemu sojusznikowi od 1941 r."), gdyż — proniemieckie. Zbyt łatwo każdy kontakt z Niemcami nazywano w tych kręgach przestępczą kolaboracją. Dlatego nie tylko odebrano Józefowi Mackiewiczowi autorstwo *Zbrodni katyńskiej...*, opracowanej przede wszystkim przez niego (była to prawdopodobnie także „kara" za druk w „Gońcu Codziennym" w Wilnie reportażu-wywiadu z podróży do Katynia) [3]. Wyeliminowano także z książki dwa znaczące świadectwa polskie z Lasu Katyńskiego — relację samego Mackiewicza i Ferdynanda Goetla.

Może w lęku przed zarzutem, że rosyjscy świadkowie Katynia byli kolaborantami, nie zamieszczono informacji, że część świadków stanowiła bliską sobie grupę ludzi służących w niemieckiej służbie porządkowej *(Ordnungs Dienst)*, grupę o wyraźnym nastawieniu antysowieckim. Niektórzy z nich ewakuowali się z ustępującymi wojskami niemieckimi.

Zapewne konsekwencją tego nastawienia było pominięcie w *Zbrodni katyńskiej...* fragmentów relacji Kriwoziercowa, przygotowanej przez Ferdynanda Goetla, nie podano także nazwiska Goetla, jako tego, który zeznanie przygotował. Polska opinia publiczna nie poznała także pełnego brzmienia zeznań świadków rosyjskich z *Amtliches Material zum Massenmord von Katyn* (Berlin 1943) [4]. Tę lukę pragnę tutaj zapełnić. Chodzi nie tylko o szczegóły zbrodni, ale także o zwrócenie uwagi na tę grupę świadków.

Ich zeznania przetłumaczyłem z *Amtliches...* W drugiej części tego materiału podaję zeznania Kriwoziercowa, spisane

[2] *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, (w tekście cytowane *Zbrodnia katyńska...*), Londyn 1948 i następne wydania.

[3] Por. K. Zamorski, *Akcja K („Kostar")* (w:) *Dwa tajne biura 2 Korpusu*, Londyn 1990, jak też moją publikację *Kto jest autorem „Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów?* (w:) *Katyń. Problemy i zagadki*, Warszawa 1990.

[4] W tekście cytowane *Amtliches...*

przez Polaków na emigracji. Określenie „świadkowie rosyjscy" odnoszę tu w zasadzie do tego okresu zeznań, który obejmuje lata 1943—1946. Są to, można powiedzieć, świadkowie „klasyczni". Niektórzy z nich, po wpadnięciu w łapy NKWD, zeznawali pod przymusem i odwoływali swoje zeznania przed komisją Burdenki (Kisielew, Zacharow). O ich późniejszym losie nic nie wiadomo. Można się spodziewać, że zapłacili najwyższą cenę za swoje zeznania, podobnie jak Kriwoziercow, zamordowany w Szkocji w 1947 r., zapewne przez agentów NKWD.

Czytelnik obecnego zestawienia nie znajdzie tu świadków i zeznań przed tzw. komisją Burdenki. Nie uważam ich właściwie za świadków, gdyż zeznawali pod przymusem, a ich zeznania sfabrykowali „specjaliści".

ZEZNANIA ŚWIADKÓW ROSYJSKICH Z *AMTLICHES...*

Protokół przesłuchania Kuźmy Godunowa [5] przez miejscowy posterunek policji polowej

M.p.[6] 5 IV 1943

Na wezwanie stawił się Rosjanin, Kuźma Godunow, ur. 25 X 1877 r. w Nowych Batokach, pięcioro dzieci, rolnik, mieszka od urodzenia w Nowych Batokach, dom bez numeru, bezpartyjny, i oświadczył, co następuje:

Od 1918 r. byłem zatrudniony w Nowych Batokach jako stajenny. Wszyscy mieszkańcy wiedzieli, że Kozie Góry były używane przez Czekę jako miejsce straceń. Pamiętam jeszcze,

[5] W oryginale niemieckim nazwisko brzmi Godonow. W komunikacie Burdenki (*Komunikat Komisji Specjalnej do ustalenia i zbadania okoliczności rozstrzelania przez niemieckich najeźdźców faszystowskich w lesie katyńskim jeńców wojennych — oficerów polskich*, Moskwa 1945, s. 30) nazwisko wymienione w dwu wersjach, także jako Godiezow, przy czym nie wiadomo, czy jest to mylne przepisanie tekstu *Amtliches...* (określonego jako „książka niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych"), czy do niego poprawka. Wersja Godunow wydaje się bardziej prawdopodobna i być może sygnalizuje pomyłkę *Amtliches...* W rosyjskiej wersji komunikatu nazwisko brzmi Godunow, Godiezow. Przytaczam za wersją komunikatu ogłoszoną w „Nowoje Wriemia" (1952, nr 10), przedrukowaną w książce: J. Mackiewicz, *Katyń*, Londyn, Kanada 1988. Resztę rosyjskich brzmień nazwisk świadków rosyjskich podaję dalej za tym ostatnim źródłem.

[6] Być może przesłuchania te odbywały się w Gniezdowie, zgodnie jednak ze zwyczajem wojskowym miejsca nie podawano, jako informacji tajnej, lecz oznaczano je skrótem *O.U.* Ponieważ skrót ten nie jest dla mnie jasny, zamiast niego używam polskiego terminu wojskowego M.p. (miejsce postoju).

że w 1921 r. zostali rozstrzelani dwaj synowie Iwana Kurczanowa ze wsi Satyłki, obwodu Kaspla, pod koniec maja czy na początku lipca, właśnie w Kozich Górach. Gdy tego dnia wyszedłem o godz. 3.00 z domu, żeby podrzucić obrok koniom, przejechała obok mnie szosą otwarta ciężarówka, załadowana 10—15 mężczyznami pod strażą czekistów. Gdy samochód mnie wyprzedzał, dwu mężczyzn zawołało: „Do widzenia wujku". Natychmiast rozpoznałem synów Iwana Kurczanowa. Gdy mniej więcej za dwa tygodnie spotkałem rodziców rozstrzelanych, moje przypuszczenie potwierdziło się; wyjaśnili mi, że powiadomiono ich o rozstrzelaniu obu synów w Kozich Górach.

Około połowy lipca 1921 r. we wsi Sarubinki, obwodu Kaspla, został także zatrzymany przez Czekę Fiodor Izaczenkow i w Smoleńsku osądzony przez „trójkę" na śmierć. Jak opowiedzieli mi jego rodzice, ich syn Fiodor też miał być rozstrzelany w Kozich Górach.

Nie wiem, z jakiego powodu rozstrzeliwano. Ale z tego, co mówili rodzice i znajomi, rozstrzelani byli nastawieni antykomunistycznie.

Las w Kozich Górach, gdy nie odbywały się tam właśnie rozstrzeliwania, był dostępny dla wszystkich. Dzieci, które chodziły tam na grzyby, opowiadały wciąż o świeżych grobach.

Nic więcej na ten temat nie wiem.

Protokół przesłuchania Iwana Kriwoziercowa przez miejscowy posterunek policji polowej

M.p. 5 IV 1943

Na posterunku znajduje się Rosjanin, Iwan Kriwoziercow, ur. 20 VII 1915 r. w Nowych Batokach, stanu wolnego, tokarz metalowy, zamieszkały w Nowych Batokach, obwód Smoleńsk, dom nr 119, bezpartyjny, od lipca 1942 w *Ordnungs Dienst* i zeznaje:

Od moich rodziców, powszechnie znanych we wsi, dowiedziałem się, że obszar Kozich Gór od 1918 r. był używany jako miejsce straceń przez Czekę, potem GPU, OGPU, a w końcu przez NKWD.

Do końca 1931 r. mogliśmy, tzn. mieszkańcy wsi, chodzić do tego lasu, aby zbierać grzyby i jagody, i ja także jako chłopak zbierałem tam grzyby. Starsi chłopcy pokazywali mi wtedy świeże groby. W 1931 r. obszar Kozich Gór został ogrodzony, a wchodzenie tam zabronione za pomocą tablic podpisanych przez OGPU. W 1934 r. na tym obszarze, jak doszły mnie słuchy, został wybudowany wielki dom, który służył jako miejsce wypoczynkowe dla ludzi z NKWD.

Egzekucji dokonywano w Kozich Górach w latach 1918—1929 i od 1940 r., w międzyczasie zaś nie widziano samochodów transportowych, udających się na ten obszar.

Od 1940 r. obszar Kozich Gór był ponadto strzeżony, pojawiły się tam posterunki i psy. W marcu i kwietniu 1940 r. na stację Gniezdowo przybyło wiele wagonów-więźniarek, z których ludzi ładowano do samochodów, nazywanych przez miejscowych *czornymi woronami*. Samochody jeździły ze stacji Gniezdowo szosą *(Landstrasse)* w kierunku Katynia. Strzałów z obszaru Kozich Gór nie słyszałem.

Protokół zeznań Michaiła Żygulewa [7] przed miejscową komendą policji polowej

M.p. 6 IV 1943

W placówce pojawił się Rosjanin, Michaił Żygulew, ur. 10 I 1915 r. w Nowych Batokach, tamże zamieszkały w domu nr 16, żonaty, bezpartyjny, jedno dziecko, od sierpnia 1942 r. w rosyjskim *Ordnungs Dienst*, i zeznał:

Już jako dziecko słyszałem, że z więzienia smoleńskiego przewożono ludzi do lasu Kozie Góry i tam rozstrzeliwano. Nieraz widywałem otwarte ciężarówki, na których pod strażą byli przewożeni więźniowie szosą *(Rollbahn)* ze Smoleńska w kierunku Kozich Gór.

Pewnego dnia, to było w 1927 r., pilnowałem koni z innymi chłopcami ze wsi blisko Kozich Gór. Zobaczyliśmy ciężarówkę jadącą od Smoleńska. Na szosie koło lasu w Kozich Górach zatrzymała się, z wozu wysiadło 11 ludzi, którzy zostali odprowadzeni do lasu. Zaraz potem usłyszeliśmy strzały. Po jakimś czasie strażnicy powrócili, wsiedli do samochodu i odjechali w kierunku Smoleńska. Z ciekawości, jak to chłopcy, pobiegliśmy do lasu, by przyjrzeć się bliżej miejscu, gdzie ci ludzie zostali rozstrzelani. Ale gdy byłem już blisko, straciłem odwagę i zawróciłem. Jednakże inni opowiedzieli mi, że znaleźli dół. Na brzegu dołu były zupełnie świeże ślady krwi, a zwłoki były pokryte tylko cienką warstwą ziemi, tak że można było zobaczyć wystające ręce i nogi.

Muszę dodać, że w tym czasie obszar lasu w Kozich Gó-

[7] W *Amtliches...* nazwisko brzmi Szygułow, w komunikacie komisji Burdenki Żygulew, co wydaje się bardziej prawdopodobne; wersja niemiecka wygląda na niedokładną transkrypcję. Por. przypis 5.

rach nie był jeszcze zamknięty. Chłopcy, z którymi byłem, zostali wszyscy wcieleni do Armii Czerwonej.

Relacja Rosjanina Iwana Kriwoziercowa

M.p. 27 II 1943

Na wezwanie przybył Rosjanin, Iwan Kriwoziercow, ur. 20 VI 1915 r.[8] w Nowych Batokach i tam mieszkający pod nr. 119, tokarz, stanu wolnego, bezpartyjny, od lipca 1942 r. przy rosyjskim *Ordnungs Dienst*, i zeznał, co następuje:

W 1940 r. pracowałem we wsi Gniezdowo w kołchozie. Ponieważ moje miejsce pracy było tuż obok kolei, zauważyłem w marcu i kwietniu 1940 r. 3—4 pociągi dziennie, przychodzące ze Smoleńska, każdy z 3—4 wagonami, które wyraźnie rozpoznałem po zakratowanych oknach jako więźniarki. Te wagony-więźniarki były przetaczane na stację w Gniezdowie. Moja siostra Daria opowiadała mi potem, że widziała, jak z tych wagonów ładowano do zamkniętych ciężarówek polskich żołnierzy, cywilnych, a nawet kilku duchownych. Wokół słyszało się, że te ciężarówki pojechały do Kozich Gór do NKWD, a ludzie zostali tam rozstrzelani. Ja sam nic takiego nie widziałem, a moja siostra nie opowiedziała mi nic bliższego.

To wszystko, co mogę powiedzieć.

Relacja Rosjanina Zacharowa[9]

M.p. 2 IV 1943

W placówce pojawił się Rosjanin, Matwiej Zacharow, ur. 1 VIII 1893 r. w Nowych Batokach, żonaty, dwoje dzieci, mieszkaniec Nowych Batoków, bezpartyjny, w tej chwili wójt gminy Nowe Batoki, i powiedział:

Od 1937 do 1941 r. pracowałem na kolei, m.in. jako manewrowy na stacji w Smoleńsku. W marcu 1940 r. nadeszły pociągi towarowe z guberni tambowskiej z doczepionymi 5—6 wielkimi pulmanami-więźniarkami. Z tego 2—3 wagony podstawiono pod rampę wyładunkową w Smoleńsku, podczas gdy reszta została odprawiona do stacji docelowej Gniezdowo. Z listów przewozowych mogłem się zorientować, że ten pociąg, tzn. więźniarki jechały z linii Riazań—Ural przez Koslow—

[8] Pomyłka: ur. 20 VII 1915.

[9] W *Amtliches...* nazwisko brzmi Sacharow, w komunikacie Burdenki Zacharow. Przyjąłem wersję rosyjską. Por. przypis 5.

Tambow—Jelna do Smoleńska. Od drużyny pociągu dowiedziałem się, że więźniowe przyjechali z Kozielska (przy linii Riazań—Ural), ze znajdującego się tam ogromnego byłego klasztoru, gdzie miało być jeszcze wiele tysięcy jeńców.

Jako manewrowy, miałem okazję zorientować się bezpośrednio, że ludzie z wagonów zostali przeładowani do samochodów transportowych z celkami, które odjechały szosą *(Landstrasse)* w kierunku Gniezdowa. Jeńcy w większości mieli na sobie polskie mundury i przeważnie byli to oficerowie. Wśród cywilnych zauważyłem także duchownych. Nie było kobiet.

Dokładnie sobie przypominam, że wyładunki trwały 28 dni. Mogłem to ustalić dokładnie na podstawie swoich notatek służbowych.

Do moich zadań należało też przeglądanie pustych wagonów, miałem więc okazję zobaczyć je także od środka. Było w nich po dziesięć cel, z których każda normalnie mieściła sześciu pasażerów. Jak dowiedziałem się od drużyny pociągu, w czasie tych transportów upychano tam 18—20 ludzi.

To wszystko, co mogę powiedzieć.

Relacja Rosjanina Silwierstowa[10]

M.p. 1 IV 1943

W placówce pojawił się Rosjanin, Grigorij Silwierstow, ur. 23 I 1891 r. w Nowych Batokach, mieszkający tamże w domu nr 61, żonaty, czworo dzieci, pracownik pomocniczy, bezpartyjny, i złożył następujące zeznanie:

W 1940 r. w kwietniu i maju zauważyłem, że na stację w Gniezdowie, w której bezpośredniej bliskości wtedy mieszkałem, dostawiano wagony-więźniarki, a z nich wyładowywano ludzi do stojących obok ciężarówek, i wywożono.

Wieczorami, po powrocie z pracy do domu, chodziłem nieraz bliżej miejsca wyładunku i widziałem, jak pod strażą funkcjonariuszy NKWD przeładowywano ludzi do stojących obok wielkich samochodów z celkami; samochody te były ogólnie znane pod nazwą *czornyje worony (schwarzer Rabe)*. Stały tam zawsze trzy takie samochody i obok jeden zwykły ciężarowy. Wysiadającym z wagonów mężczyznom odbierano ręczny bagaż i wrzucano na ciężarówkę, podczas gdy ich samych ładowano do samochodów z celkami. Gdy samochody się napełniły,

[10] W *Amtliches...* nazwisko brzmi Silwiestrow, w komunikacie Burdenki Silwierstow. I tu, konsekwentnie, przyjąłem wersję rosyjską. Por. przypis 5.

kolumna odjeżdżała ze stacji. Składała się z trzech samochodów z celkami, ciężarówki z bagażem, przodem jechała inna ciężarówka. Widziałem, jak samochody jadą ulicą do góry, do szosy *(Rollbahn)*, potem skręcają na lewo i kierują się w stronę Katynia. Po 20—25 minutach kolumna wracała i wszystko powtarzało się od nowa. Niejednokrotnie zauważyłem, że mężczyźni, prawdopodobnie z NKWD, w jadącym na czele samochodzie osobowym mieli typowo żydowskie twarze. Wyładunki przeprowadzano najczęściej wieczorem, ale także i w nocy. Że transporty odbywały się także w nocy, mogłem stwierdzić wiele razy, ponieważ mieszkałem wówczas przy ulicy prowadzącej od stacji do szosy *(Rollbahn)*. Obliczam, że taka kolumna odbywała drogę dziesięć razy dziennie w kwietniu i maju w przybliżeniu przez cztery tygodnie.

Nie mogłem być w miejscu wyładunku, ale mogłem dostrzec z placu znajdującego się w odległości około 50 m, skąd właśnie wypatrywałem, że ci, co wysiadali z wagonów, to byli przede wszystkim umundurowani, najczęściej oficerowie, choć byli tam i cywile. Pomiędzy cywilami można też było zobaczyć starszych ludzi, często wspartych na kosturach. Nie widziałem kobiet. Ponieważ nie znam się na mundurach, nie mogłem stwierdzić, jakiej narodowości byli ci ludzie. Krążące pogłoski też były różne — jedni utrzymywali, że to są Polacy, inni mówili o Finach. Słyszało się, że jeńcy byli dowożeni do odległego stąd około 4 km „Domu wypoczynkowego dla kolektywu" i tam rozstrzeliwani. Wiem też, że w czasie trwania tych transportów zabroniono normalnego zbierania grzybów w okolicy tego domu. Przeważnie jednak mieszkańcy wsi, którzy wiedzieli coś więcej, pilnowali się, aby o tym nie mówić.

Więcej nic na ten temat nie wiem.

Zeznanie Rosjanina Andriejewa

M.p. 28 II 1943

Na wezwanie przybył Rosjanin, Iwan Andriejew, ur. 27 I 1917 r. w Nowych Batokach, mieszkający tam w domu nr 2, ślusarz, żonaty, bezpartyjny, i jako świadek zeznał, co następuje:

Mniej więcej od połowy marca do połowy kwietnia 1940 r. przyjeżdżały na stację w Gniezdowie 3—4 pociągi dziennie. Były tam niewątpliwie 2—3 wagony-więźniarki, podstawiane na stację. Pasażerowie, w większości polscy żołnierze, których rozpoznawałem po czapkach, podobnie jak cywile, byli ładowani z wagonów do zamkniętych ciężarówek. Ciężarówki jechały ulicą od stacji do szosy *(Rollbahn)* i skręcały potem na lewo w kierunku Katynia. Później zauważyłem kilka razy, że mniej więcej 2,2 km stąd skręcały z szosy i jechały do Kozich Gór. Wiele razy słyszałem, że ludzie ci byli rozstrzeliwani w Kozich Górach, przy NKWD, ale sam tego nie widziałem.

Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Zeznanie Rosjanina Kisielewa

M.p. 27 II 1943

Na ustne wezwanie przyszedł Rosjanin, Parfien Kisielew, wiek 72 lata, zamieszkały w Kozich Górach, i pytany wyjaśnił, co następuje:

Mieszkam w Kozich Górach od 1907 r. Mniej więcej 10 lat temu został wybudowany w lesie zameczek jako sanatorium dla wyższych funkcjonariuszy NKWD. Cały obszar lasu został ogrodzony dwumetrowej wysokości drutem kolczastym. Jednocześnie całości zaczęli strzec uzbrojeni strażnicy. Dla wszystkich cywilnych dostęp do lasu został surowo zabroniony. Z urzędników nie poznałem nikogo poza posługaczem, będącym także strażnikiem. Nazywał się Roman Siergiejewicz, pochodził z Wiaźmy. Wczesną wiosną 1940 r. przez okres około 4—5 tygodni, co dzień, 3—4 ciężarówki, załadowane ludźmi, były odstawiane do lasu i tam, zdaje się, byli oni rozstrzeliwani przez NKWD. Auta były zamknięte, tak że nikt nie mógł zobaczyć, co jest we środku. Pewnego dnia, gdy byłem na stacji w Gniezdowie, zobaczyłem, jak ludzie wysiadają z wagonów i ładowani są w znane mi ciężarówki, które jadą stamtąd w kierunku lasu. Nie mogę powiedzieć, co zrobiono z tymi ludźmi, bo nigdy nie odważyłem się, żeby tam blisko podejść. Ale strzały i krzyki mężczyzn słychać było aż w moim domu. Całkowicie możliwe, że zostali oni zastrzeleni. W okolicy nie uważa się za tajemnicę, że tutaj Polacy zostali rozstrzelani przez NKWD. Miejscowi ludzie opowiadają, że chodzi o liczbę 10 tys. Polaków.

Kiedy las został zajęty przez oddziały niemieckie, poszedłem tam, żeby się przekonać, jak było. Sądziłem, że znajdę jeszcze jakieś zwłoki, ale na próżno. Zobaczyłem tylko tu i ówdzie wzniesienia. Byłem głęboko przekonany, że pod tymi pagórkami muszą się znajdować trupy. W 1942 r. przy niemieckiej jednostce w Gniezdowie byli zatrudnieni Polacy. Pewnego dnia przyszło do mnie dziesięciu Polaków i prosili, czy mógł-

bym im wskazać, gdzie leżą ich rodacy, którzy zostali rozstrzelani przez NKWD. Zaprowadziłem ich do lasu i pokazałem wzniesienia. Polacy prosili wtedy o pożyczenie im kilofa i łopaty, co także uczyniłem. Mniej więcej po godzinie Polacy wrócili wzburzeni, przeklinając NKWD. Wyjaśnili, że pod jednym wzniesieniem znaleźli zwłoki. Jako widoczny znak tego postawili dwa brzozowe krzyże, które jeszcze dziś tam stoją.

To wszystko, co mam do powiedzenia.

Zaprzysiężenie rosyjskich świadków przez dowództwo Grupy Armii „Środek"

Kwatera Główna, 18 IV 1943

[z dokumentu podaję tylko wypowiedzi świadków]

1) Kisielew: Moje zeznanie z 27 II 1942 r. *[oczywista pomyłka: 1943!]*, które mi przeczytano, zawiera czystą prawdę. Potwierdzam to całkowicie dzisiaj i nic nie mam do dodania.

2) Kriwoziercow: Moje zeznania z 27 II i 5 IV 1943 r., które mi przeczytano, w pełni odpowiadają prawdzie. Potwierdzam je całkowicie dzisiaj i chciałbym jeszcze dodać:

Przypominam sobie, że 17 lub 18 IV 1940 r. — było to w sobotę *[pomyłka: sobota przypadała na 13 lub 20 IV]* — widziałem około 10 ciężarówek wysoko wyładowanych walizkami, teczkami, workami na bieliznę i płaszczami. Jechały one z Lasu Katyńskiego w kierunku Smoleńska. Na każdej ciężarówce było dwu czekistów. Nie mam już nic więcej do zeznania.

3) Andriejew: Moje zeznanie z 28 II 1943 r., które mi przeczytano, zawiera czystą prawdę. Potwierdzam je całkowicie dzisiaj i chciałbym dodać, co następuje:

Znałem szofera, który jeździł jednym z samochodów czornyj woron. Otrzymał tytułem premii motocykl i pieniądze. Nazywa się tow. Jakim Razuwajew i został ewakuowany przez Rosjan przed wejściem Niemców. Był ostatnio widziany za Wiaźmą przez mojego kuma Willi Silickiego, mieszkającego w Nowych Batokach nr 27.

Ja sam zauważyłem także, że w każdej ciężarówce było dwu lub trzech cywilów, można było poznać po kapeluszach.

4) Silwierstow: Moje zeznanie z 1 IV 1943 r., które mi przeczytano, zawiera czystą prawdę. Potwierdzam je dzisiaj całkowicie i nie mam nic do dodania.

5) Zacharow: Moje zeznanie z 2 IV 1943 r., które mi odczytano, zawiera czystą prawdę. Potwierdzam je dzisiaj całkowicie i chciałbym dorzucić, co następuje:

Nie zaglądałem do wszystkich wagonów, ale w tych, do których zaglądałem, znajdowało się zawsze dwu, trzech duchownych. Byli w długich sutannach. Powiedziano mi, że to polscy księża.

6) Żygulew: Moje zeznanie z 6 IV 1943 r., które mi odczytano, zawiera czystą prawdę. Potwierdzam je dzisiaj całkowicie i nie mam nic do dodania.

NIE PUBLIKOWANE W *AMTLICHES... ZEZNANIE* ROSYJSKIEGO ŚWIADKA, SPORZĄDZONE PRZEZ NIEMCÓW

Przesłuchania do publikacji w *Amtliches...* zostały przeselekcjonowane, toteż nie ma tam m.in. przesłuchania Aleksieja Sladkowa. Odnaleziono je w dokumentach niemieckich. Zeznanie, zaprotokołowane w języku niemieckim, zostało wydrukowane w *Haerings...*[11] jako fotokopia oryginalnego dokumentu niemieckiego.

Zeznanie Sladkowa

M.p. 6 IV 1943

Na wezwanie przybył Rosjanin, Aleksiej Sladkow, ur. 17 III 1875 r. w Choroszewie, obwód Demidow, zamieszkały w Krasnym Borze, dom nr 75, i zeznał, co następuje:

W latach 1939—1940 mieszkałem w Nowych Batokach i codziennie jeździłem do Smoleńska, gdzie pracowałem. Z tego powodu miałem sposobność zobaczyć własnymi oczami przewiezienie Polaków do Kozich Gór. W marcu 1940 r. stało pewnego dnia 4—5 luksusowych wagonów na jednym z bocznych torów stacji Gniezdowo, w pobliżu rampy wyładunkowej. Pasażerowie nie mogli opuszczać wagonów, przed którymi stały dwa posterunki pod bronią. Przeszedłem obok wagonu i zobaczyłem oficerów i cywilów siedzących przy stolikach. Na stolikach stały butelki z winem i różne rzeczy do jedzenia, np. kiełbasa i szynka. Pasażerowie byli w większości cywilni, było tam także kilka kobiet. Wszyscy byli dobrze odżywieni i wytwornie ubrani, i już po tym było widać, że są cudzoziemcami. Kobiety z Nowych Batoków musiały nosić wodę do wagonów, ale nie wolno było im wejść do środka. Byłem także świadkiem, jak wieczorem część pasażerów została załadowana na

[11] *Haerings before the Select Committee to conduct an investigation of the facts, evidence, and circumstances of the Katyn forest massacre* (w tekście cytowane *Haerings...*), Washington 1952, s. 1350.

ciężarówki. Wszyscy mieli ciężkie walizki, niektórzy nieśli także poduszki. Rozładowywanie trwało 4—5 dni, aż wagony się opróżniły. Potem w ciągu nocy wagony odjechały, a po około ośmiu dniach znów stały pełne na tym samym miejscu. Ten obraz powtarzał się bez przerwy w ciągu marca i kwietnia 1940 r. Wśród tutejszej ludności określano wtedy powszechnie tych ludzi mianem „polskich zakładników".

To wszystko, co mogę powiedzieć.

[Świadek, jak wynika z daty urodzenia, miał 68 lat, zeznanie wygląda wyraźnie na konfabulację i przemieszanie wspomnienia pociągu stojącego na stacji z jakimiś opowieściami rozpowszechnianymi po wsi. Zeznanie to przypomina opisy rozładowywania niektórych transportów żydowskich z zachodniej Europy. W tym świetle jasna staje się decyzja władz niemieckich — niewłączania tego zeznania do zeznań rosyjskich świadków w *Amtliches...*]

„SPRAWA CIEMNA I GROŹNA"

Zeznania Iwana Kriwoziercowa na Zachodzie

Zeznania zostały opublikowane:

1) najwcześniejsze, datowane 31 V 1945 r. w obozie dla uchodźców w Niemczech, w Verden, zostało zanotowane jako krótki meldunek w języku angielskim przez mjr. Grubera; fotokopia znajduje się w *Haerings...* (s. 840—843). Jeszcze jeden niewątpliwy ślad otrzymania meldunku o Katyniu przez zachodnich aliantów przed procesem norymberskim;

2) przesłuchanie Kriwoziercowa z maja 1946 r. przed polskimi władzami wojskowymi, prawdopodobnie w siedzibie sztabu w Meppen. Podaję je tu w całości za fotokopią zamieszczoną w *Haerings...* (s. 828—833);

3) w książce *Zbrodnia katyńska...* (zeznanie z października 1946); ponieważ jest ono bardzo znane i dostępne, opuszczam je więc tutaj;

4) w książce Ferdynanda Goetla *Czasy wojny*[12], sporządzone prawdopodobnie w Ankonie;

5) w książce Józefa Mackiewicza *Katyń*, pieriewod s polskogo Siergieja Kryżyckogo, Londyn, Kanada 1988 (tłumaczenie książki, której pierwsze wydanie ukazało się w języku niemieckim: *Katyn — ungesühntes Verbrechen*, München 1949).

[12] F. Goetel, *Czasy wojny*, Londyn 1955.

Zeznanie 1

I. Kriwoziercow, urodzony w Gniezdowie 20 VII 1915 r., Rosja, obywatel rosyjski, opowiedział to najpierw napotkanemu oficerowi polskiemu jako całą prawdę o masakrze polskich oficerów w Katyniu w 1940 r.

Moja wioska znajdowała się około trzech kilometrów od miejsca, gdzie odbyło się rozstrzelanie.

Miejsce to zostało okupowane przez Niemców, którzy zatrzymali się tam (w mojej rodzinnej wiosce, Gniezdowie). Dowiedziałem się od Niemców, że byliby oni bardzo zainteresowani odnalezieniem polskich zaginionych oficerów, okolicznościami ich wymordowania, i że jest to sprawa o międzynarodowej wadze. Wyjawiłem im to i opowiedziałem wszystko. Poinformowałem o tym różne komitety międzynarodowe. Jako pierwszy pokazałem te groby. Pracowałem przez trzy miesiące przy odkrywaniu grobów polskich oficerów.

Gdy Rosjanie zaczęli posuwać się naprzód, zostałem wysłany przez Niemców jako robotnik kolejowy do Berlina. Potem Berlin zajęli Rosjanie. Ja pieszo uciekłem tutaj.

To wszystko, co powiedziałem, potwierdzam uroczyście pod przysięgą.

(podpis) (Kriw)
Kriwoziercow
(po rosyjsku)

Verden, 31 V 1945

Zeznanie 2

Znak akt. Sow. 6/46.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA ŚWIADKA

Miejsce postoju, dnia 20 V 1946. Początek o godzinie 14.30
Obecni: sędzia wojskowy por. aud. Lewicki Kazimierz, protokólant plut. Kubert Stanisław
Świadka upomniano i pouczono w myśl art. 81 kwpk
Po czym świadek podaje:
Nazwisko i imię Kriwoziercow Iwan, syn Grzegorza
Data i miejsce urodzenia 20 VII 1915, Nowe Batoki, gmina Katyń, obłast' Smoleńsk
Wyznanie prawosł. Stan rodzinny kawaler
Zawód tokarz metalowy
Adres zamieszkały przed wojną w miejscu urodzenia
Świadka zaprzysiężono w myśl art. 83 kwpk.

Przesłuchanie przeprowadzono w języku polskim, wyjaśniając od czasu do czasu świadkowi mniej znane określenia w języku rosyjskim przy pomocy ppor. Heitzmana Marian[a] ze Sztabu Głównego w Londynie. Świadek rozumie zupełnie język polski. Świadek składa zeznanie jak na załączonych kartach 1) 2) 3) i 4).

W początkach marca 1940 r. rozeszła się pogłoska, że NKWD będzie stawiało jakieś budynki w lesie na Kozich Górach, gdyż kopie się doły pod fundamenty. Doły te kopali cywilni więźniowie, przywiezieni na trzech lub czterech samochodach pod strażą NKWD z więzienia w Smoleńsku. Przywóz tych więźniów widziałem na własne oczy. Roboty te rozpoczęły się w początkach marca. Przypuszczam, że byli to więźniowie ze Smoleńska, bo ciężarówki jechały z tamtego kierunku.

Kiedy roboty te zostały zakończone, zaczęły przychodzić transporty oficerów na stację Gniezdowo. Przypominam sobie, że transporty te zaczęły przychodzić wtedy, kiedy zawarty został pokój z Finlandią i nawet dlatego ludzie początkowo mówili, że NKWD wozi fińskich oficerów. Ale już drugiego dnia niektórzy z okolicznych mieszkańców poznali polskie mundury i było wiadomo, że to są transporty polskich jeńców wojennych, oficerów.

Transporty te były przywożone specjalnymi pociągami, składającymi się z maszyny i 3—4 stołypinek. Czasami były to mniejsze wagony dwuosiowe, a czasami większe czteroosiowe.

Cały pociąg podstawiano na boczny tor koło magazynu, gdzie był mały placyk. Tam zajeżdżał tyłem do wagonu *czornyj woron* i do niego ładowano oficerów. Były dwa *czornyje worony*, oprócz tego ciężarówka, na którą ładowano rzeczy oficerów, i osobowy samochód. Osobowym samochodem jechał naczelnik, oficer NKWD, dokładnie nie widziałem odznak, ale zdaje mi się, że miał jeden romb. Po załadowaniu oficerów do *czornych woronow* cała kolumna czterech samochodów jechała w stronę Kozich Gór, a potem wracała po następną partię.

Mieszkańcy okolicznych wsi twierdzili, że oficerów tych wozi NKWD na Kozie Góry, żeby ich tam rozstrzeliwano. Wprawdzie nikt egzekucji nie widział, ale wiadomo było, że w lesie na Kozich Górach nie ma żadnego obozu, a poza tym miejsce to było znane jako miejsce stracenia od szeregu lat.

Eskortę stanowili enkawudziści ze Smoleńska, a jednego szofera, który jeździł *czornym woronem*, znałem osobiście: nazwisko jego było Jakim Razuwajew, a wołano go krótko Kim. Poza tym wiadomo mi, że szofer Piet'ka, nazwiska nie pamię-

tam, który prowadził ciężarówkę, na której wożono rzeczy oficerów do lasu na Kozie Góry i który został wygnany ze służby w NKWD i pracował w Smoleńsku w Sojuztrans, opowiadał jeszcze przed przyjściem Niemców, że oficerów tych NKWD rozstrzeliwało.

Mój krewny opowiadał mi, że kiedy przetaczano wagony z oficerami na ślepy tor, zobaczył w eskorcie swego znajomego enkawudzistę. Wdał się z nim w rozmowę i zapytał, czy przytu u was są obozy? Co ty takie głupstwa mówisz, ty nie wiesz, wożą tych ludzi do obozów. Na co ten odpowiedział: „A gdzież gdzie się takich ludzi wozi?"

Personel daczy NKWD składał się tylko z 3 lub 4 osób, ponieważ na tę daczę enwakudziści przyjeżdżali tylko na krótko i tam nie mieszkali. Niedaleko od daczy NKWD, we wsi Borek, znajdowało się duże sanatorium NKWD. Za czasów niemieckich na daczy NKWD mieszkał jakiś wyższy oficer niemiecki, podobno generał, ze swoim adiutantem, ale żadnego oddziału wojskowego tam nie było. Razem z tym generałem mogło tam mieszkać około 10 ludzi.

Po wojnie w 1939 r. żadnych obozów polskich jeńców wojennych w okolicy Gniezdowa i Katynia ani dalej na zachód nie było. Żadnych tam robót drogowych w tej okolicy nie prowadzono poza normalnym poprawianiem dróg przez dróżników.

Wojska niemieckie zajęły okolice Gniezdowa 27 lipca 1941 r., a Smoleńsk (górną część miasta) koło 16 lipca. Przez 13 dni do przyjścia wojsk niemieckich nie było żadnej władzy i każdy robił, co chciał. Były wprawdzie rozbite, cofające się oddziały sowieckie, z których ostatnie wycofały się 26 lipca, zerwawszy most kolejowy i drogowy, ale żadnego porządku nie było.

Na wiosnę 1942 r. robotnicy polscy, którzy pracowali tam w organizacji Todta, zbierając łom żelazny dowiedzieli się od miejscowej ludności, że w lesie na Kozich Górach znajdują się groby rozstrzelanych polskich oficerów. Ja sam słyszałem taką rozmowę. Od Kisielewa wiem, że robotnicy ci byli u niego, prosząc, by im pokazał mogiły i Kisielew ich zaprowadził na groby, na których oni postawili niewielki krzyż drewniany. Ten krzyż ja sam widziałem.

W styczniu 1943 r. ukazał się w gazecie „Nowyj Put' ", wydawanej po rosyjsku przez Niemców w Smoleńsku, artykuł opisujący zbrodnie popełniane przez bolszewików na terenach zajętych w 1939 r. Była tam mowa o aresztowaniach, o wywiezieniu na Syberię setek tysięcy ludzi, których znaczna część tam wymarła, i wreszcie wspomniano tam, że gen. Sikorski nie

mógł w Rosji odszukać kilku tysięcy polskich oficerów, kiedy organizował w Sowietach armię polską. Kiedy przeczytałem ten artykuł, zacząłem na ten temat rozmawiać z tłumaczem niemieckim i m.in. powiedziałem: „Gdzie oni szukają tych oficerów w Rosji, skoro oni leżą tu rozstrzelani na Kozich Górach". Tłumacz ten, który pracował w Geheime Feld Polizei, nic się na to nie odezwał, ale za kilka dni mój krewny, który pracował przy koniach w Geh.F.P., powiedział mi, że na drugi dzień mam gdzieś pojechać z podoficerami z Geh.F.P. Na drugi dzień, kiedy zgłosiłem się w G.F.P., pojechaliśmy wozem, ja i jeszcze dwóch miejscowych w kierunku Kozich Gór. Z nami na motocyklach pojechali dwaj feldfeble z G.F.P. Jeden z nich nazwiskiem Arhels czy Eichhelts znał język rosyjski. Jestem prawie pewny, że spotkałem go w marcu lub kwietniu tego roku 1946 jako jeńca wojennego w obozie w Fallingsbestel. Mógłby może udzielić informacji o losach Iwana Wasilewicza Andriejewa z N. Batok, który razem z żoną ewakuował się z Eiheltsem do Mińska, gdzie urodziła się mu córeczka. Co się z nimi dalej stało, nie wiem.

Kiedyśmy przyjechali na daczę NKWD, ci dwaj podoficerowie zapytali mnie, gdzie znajdują się groby polskich oficerów. Odpowiedziałem, że nie wiem, ale pójdę do Kisielewa, który blisko mieszka i który z pewnością będzie coś wiedział. Kisielew był w domu i leżał na piecu, a kiedy mu powiedziałem, o co chodzi, odrzekł, że już zeszłego roku pytali się o to samo polscy robotnicy, jak już o tym wspomniałem poprzednio. Na to mu odpowiedziałem, że teraz my będziemy groby rozkopywać. Kisielew ubrał się, wyszedł ze mną i zaprowadził nas do grobów.

Wtedy najpierw kilofem rozbiliśmy zmarzłą ziemię, a potem zaczęliśmy na zmianę kopać łopatami. Kiedyśmy dosyć głęboko jamę wykopali, poczuliśmy smród trupi. Ponieważ moi dwaj koledzy nie mogli tego smrodu wytrzymać i zbierało się im na wymioty, a ja mniej tego smrodu czułem, na samym końcu kopałem ja. Przez cały czas kopaliśmy przez piasek, a na dnie była cienka warstwa sczerniałej ziemi, pod którą leżał trup. Zobaczyłem płaszcz wojskowy i dragon od płaszcza, bo trup leżał twarzą w dół. Wtedy oderwałem guzik od dragona, oczyściłem i zobaczyłem, że jest to guzik z orzełkiem. Podałem guzik Niemcom, którzy go obejrzeli, po czym zawinąłem go w papier, przerwaliśmy robotę i pojechaliśmy z powrotem.

Kiedyśmy przyjechali do Gniezdowa, przyjechał tam lejtn. Voss, sekretarz Geh. Feld. Pol. Pokazałem Vossowi guzik, opowiedziałem, żeśmy wykopali jamę, że z jamy wydobywa się

silny smród trupi, wobec czego Voss wziął z sobą butelkę spirytusu na wypadek, gdyby się komuś zbierało na wymioty, po czym wszyscy ci sami, co przedtem, i Voss pojechaliśmy z powrotem na Kozie Góry samochodem i motocyklem. Kiedyśmy przyjechali na miejsce, Voss kazał rozszerzyć jamę, odjąć głowę od trupa i wydobyć ją z jamy. Voss obejrzał głowę, kazał ją z powrotem włożyć do jamy i przysypać trochę ziemią. Potem Voss pochodził po lesie, poszedł na drugą stronę dolinki za błoto, po czym wróciliśmy do Gniezdowa.

Tego samego dnia unteroffizier, Austriak Gustaw Ponka przez tłumacza Arhelsa czy Eichheltsa odebrał ode mnie zeznanie, pytając, co wiem o rozstrzelaniu polskich oficerów. Razem ze mną przesłuchiwano także Andriejewa Iwana z N. Batok przezwiskiem Rumba. Zaznaczam, że podczas składania zeznań tylko pytano mnie, co wiem, i nikt ani mi niczym nie groził, ani na mnie nie krzyczał. Tak samo odnoszono się do Andriejewa, który przy mnie zeznawał. Przy zeznaniach innych mieszkańców nie byłem, ale gdyby Niemcy przy zeznaniach kogoś bili czy grozili, byłbym o tym z pewnością słyszał. Zresztą najlepiej o zachowaniu się przesłuchujących świadczy, że Kisielewa, ponieważ był bardzo stary, nie wzywano do Gniezdowa, ale Ponka razem z tłumaczem pojechali do niego, do domu, i tam odebrali od niego zeznania. Kisielewa widywałem dosyć często potem i był zupełnie zdrowy, chociaż stary, a w ostatni dzień, kiedy ewakuowałem się na zachód, tzn. 24 września 1943 r., widziałem Kisielewa jak szedł ze mną i pchał przed sobą taczki. Zresztą nie było powodu, żeby kogoś z tych, którzy byli przesłuchiwani, bić czy grozić im, bo zarówno Kisielew, jak i inni zeznawali dobrowolnie.

Potem za kilka dni przyjechała komisja Czerwonego Krzyża, wywieszono wielką flagę Czerwonego Krzyża, tłumacz nam powiedział, że teraz to terytorium jest w rozporządzeniu Czerwonego Krzyża. Komisja Czerwonego Krzyża z nami rozmawiała, wypytywano nas, co wiemy o rozstrzelaniu oficerów, ale był przy tym obecny tylko tłumacz. Rozmawialiśmy zupełnie swobodnie i nikt na nas nie krzyczał.

Rozmawiałem także z delegacją polskich jeńców wojennych. Początkowo rozmawialiśmy przez tłumacza, ale jeden z delegacji polskich jeńców wojennych, oficer z dwoma lub trzema gwiazdkami, powiedział tłumaczowi, że on źle mówi po rosyjsku i sam zaczął z nami mówić po rosyjsku bez tłumacza. W tej delegacji był polski podpułkownik, ale ten po rosyjsku nie mówił.

Rozmawiałem także z delegacją angielskich jeńców wojen-

nych. Anglicy obejrzeli groby, po czym podeszli do nas, był z nimi niemiecki szef propagandy. Niemcy zaczęli wołać: „dolmetscher", a wtedy z grupy Anglików oddzielił się jeden oficer, wysoki, w okularach, podszedł do nas i słabym językiem rosyjskim powiedział: „Pałkownik, choczet znat' skolko płatit' nam dienieg Giermancy". Kisielew powiedział, że mu nikt nie płaci Potem jeszcze Anglicy przez tego angielskiego oficera nas wypytywali, jak bolszewicy oficerów wozili, a potem poszli oglądać mogiły ruskich wystrzelanych.

Rozmawiałem także z członkami Polskiego Czerwonego Krzyża. Pamiętam, że raz, jak wyjęto jednego trupa, Polacy, jak zobaczyli jego dokumenty, zaczęli coś dużo między sobą mówić, ja usłyszałem coś, jak mówili: „Piłsudski". To mnie zaciekawiło, podszedłem bliżej i zapytałem, co się stało. Wtedy mi pokazali dokumenty i powiedzieli, że znaleźli trupa osobistego lekarza Piłsudskiego, Kalicińskiego.

Z końcem maja Niemcy skończyli rozkopywać siedem grobów z tej strony błota. Wtedy już wszystkie trupy z tych siedmiu grobów były wyjęte. Z ósmego niedużego grobu z drugiej strony błota Niemcy wyjęli trochę trupów, ale potem włożyli z powrotem do grobu i dalej nie rozkopywali.

Pomiędzy tymi, którzy składali przed Niemcami zeznania, był Iwan Andriejew ze wsi Zyłki, przezwiskiem Szlepoczka, w wieku czterdziestu kilku lat, ale drugi, nie Iwan Andriejew, przezwiskiem Rumba (bo miał krzywe nogi), który ewakuował się. W lecie 43 r., jak zaczęły chodzić słuchy, że Czerwona Armia się zbliża, wtedy żona Szlepoczki wyrzuciła go z domu, powiedziała, że nie chce z nim żyć. Wtedy ja zrozumiałem, że ona boi się, że jak czerwoni przyjdą, to wszyscy, którzy zeznawali wobec Niemców, będą za to odpowiadać.

Przez cały rok 41 i 42 po przyjściu Niemców na daczy nie było żadnych oddziałów, mieszkał tylko, jak podałem poprzednio, jakiś wyższy oficer niemiecki. Także i cały teren lasu nie był strzeżony ani obstawiony posterunkami, nawet płotu nie było, bo został rozebrany na drzewo. Można było swobodnie chodzić, ja sam chodziłem na grzyby. Niemcy nie zakazywali chodzić po lesie dokoła daczy. Nie widziałem tam żadnych przyjeżdżających samochodów poza jednym samochodem osobowym tego oficera, który tam mieszkał.

Ludność okoliczna nie bardzo zresztą się interesowała całą sprawą, bo na Kozich Górach wiadomo było, że NKWD z dawna rozstrzeliwało i każdy wiedział, jak było.

Andriejew Siemion z N. Batok, który pracował w warsztacie przy składzie 95 w Krasnym Borze, dokąd dojeżdżał koleją,

słyszał od kolejarzy, że oficerów polskich NKWD wozi z Kozielska. Nigdy nie słyszałem, aby ktoś mówił, że wożono także oficerów ze Starobielska czy Ostaszkowa. Andriejew ewakuował się do Rosji przed Niemcami.

Kiedy Armia Czerwona się zbliżała, postanowiłem ewakuować się z Niemcami. Iwan Andriejew (Rumba), mój znajomy, namyślał się, czy zostać, czy nie, ale ja mu doradziłem, aby się ewakuował, bo go NKWD rozstrzela. Więc on się namyślił i wyjechał samochodem z tłumaczem niemieckim, którego nazwiska nie znam. Ja chciałem się też z nimi zabrać, ale mnie nie zabrali. Ja dopiero później za dzień albo dwa wyszedłem na szosę i prosiłem niemieckiego żandarma, który regulował ruch na szosie, aby mi umożliwił ewakuację. On zatrzymał jeden samochód, który jechał do Orszy, i w ten sposób wyjechałem.

Słyszałem nazwisko Mienszagina, który był naczelnikiem miasta w Smoleńsku za niemieckich czasów, ale nie wiem, co się z nim stało. Przypuszczam, że ewakuował się z Niemcami.

Dodatkowo podaję, że kiedy po raz pierwszy składałem zeznania przed Niemcami, pytano pierwszego Wasylkowa, który jako trzeci jeździł z nami na pierwsze rozkopywanie. Wasylkow, który był bojaźliwy, kiedy go zapytano, co widział, odpowiedział, że nic nie wie. Wtedy tłumacz mu powiedział: jak nic nie wiesz i nie chcesz gadać, to idź do domu.

Po odczytaniu podpisano.
[podpisy]

Zeznanie 3

Zeznanie 3, zamieszczone w *Zbrodni katyńskiej...*, jest datowane (październik 1946), ale nie określa miejsca złożenia zeznań. Jednakże jego szczegółowe porównanie z zeznaniem 4, zanotowanym w Ankonie przez Ferdynanda Goetla w willi „Emilia" (Goetel pomija informację, że prawdopodobnie było to robione na zamówienie władz wojskowych — Biura II Korpusu) i zamieszczonym później w jego książce *Czasy wojny* — dowodzi bezspornie, że chodzi o tekst tego samego zeznania, które w *Zbrodni katyńskiej...* uległo niewielkim zmianom redakcyjnym i kilku drobnym uzupełnieniom. Jest więc całkowicie pewne, że zeznanie ze *Zbrodni katyńskiej...* jest zeznaniem zaprotokołowanym przez Goetla. Jednakże opuszczono w nim niektóre ważne szczegóły, istotne zwłaszcza dla poznania historii osobistej i rysów osobowości, jak i poglądów Iwana

Kriwoziercowa. Zarówno zeznania świadków zamieszczone w *Amtliches...*, jak i w *Zbrodni katyńskiej...* skupiają się jedynie na szczegółach rzeczowych, związanych bezpośrednio ze zbrodnią. We fragmentach relacji zanotowanej przez Goetla, a opuszczonych w *Zbrodni katyńskiej...* jest także pewna liczba szczegółów czy własnych domniemań Kriwoziercowa, odnoszących się do faktów zbrodni. Dlatego wydawało się celowe podanie tutaj pełnego tekstu tego zeznania Kriwoziercowa w wersji nie okrojonej (jak w *Zbrodni katyńskiej...*). Poprawiono drobne błędy tekstu. W tekście zamieszczonym niżej nie sygnalizuję drobnych zmian stylistycznych, dokonanych w *Zbrodni katyńskiej...*, podaję jednak mniejszą czcionką istotne miejsca opuszczone w niej. Z kolei tekst zeznania Kriwoziercowa w *Zbrodni katyńskiej...* zawiera także kilka drobnych uzupełnień, nieobecnych w wersji zanotowanej przez Goetla. Być może wzięto je z rękopisu pierwotnego tekstu Goetla, którym nie dysponuję, lub z innego, nie znanego zeznania Kriwoziercowa.

Zeznanie 4[13]

Nazywam się Iwan Kriwoziercow. Urodziłem się w r. 1915 we wsi Nowe Batoki, która leży na dwunastej wiorście drogi od Smoleńska ku Witebskowi. Ojciec mój nazwiskiem Kriwoziercow był włościaninem i pochodził z rodziny osiadłej w Nowych Batokach od dziada pradziada. Posiadłość miał niedużą, tylko 10 dziesięcin ziemi. Żyliśmy z uprawy roli. Matka moja, z domu Zacharowa, pochodziła również z miejscowej rodziny. Miałem dwie siostry. Na chrzcie otrzymałem imię Iwan.

Wczesne moje dzieciństwo było dość spokojne. Ojciec mój był człowiekiem pracowitym i twardym, stałych i uczciwych zasad. Ludzie miejscowi poważali go bardzo. Pierwsze lata rewolucji bolszewickiej nie dały się nam odczuć. Żyliśmy, jak i inni, dość na uboczu. Z jednej strony traktu do Witebska ciągnęły się osady zamieszkałe przez znanych nam ludzi, po drugiej stał wielki las, zwany Katyńskim, od sioła Katyń, położonego na jego kraju. Do lasu chodziło się na grzyby i po chrust. Należał on kiedyś do Polaka Koźlińskiego [w oryginale błędnie: Koźlickiego], później był państwowy, a w rzeczywistości niczyj. Nie miał dobrej sławy od dawnych już lat. Część jego, najbliższa Smoleńska i najsłabiej rozrosła, nazywała się Kozie Góry, następna Razbojniczy Kałodiec, trzecia Czarnogriaz.

[13] Tamże.

Ojciec mój do przewrotu odniósł się nieufnie. O komunizmie mawiał „Komunizm dobra sprawa, ale my... drian' ". Ponieważ nie wdawał się w polityczne sprawy, pozostawiono go w spokoju. W r. 1926 nastąpiła pierwsza zmiana naszej sytuacji, gdyż posiadłość naszą skrócono o 6 hektarów. Uszczupleni, żyliśmy jednak spokojnie dalej na swoim aż do roku 1929, w którym nastąpiła kolektywizacja chłopskich posiadłości i przeorganizowanie wsi w kołchozy. Ojciec mój z całą rodziną został wówczas zaliczony do kułaków. Przewidując złowrogie następstwa tego stanu rzeczy, uciekł wraz z matką i młodszą siostrą na Ural. Ja z siostrą zostałem. Miałem wtedy lat 14, siostra 16. W jesieni 1931 ojciec osądził, że już o nim jako o kułaku zapomniano, powrócił do rodzinnych stron i zajął się dorywczą pracą. Ponieważ zapatrywań swych nie zmienił, dawał im niekiedy wyraz w rozmowach. Rychło też został uwięziony na podstawie donosu jednego z krewnych. Skazany na 10 lat zsyłki do obozów pracy na podstawie § 56, p. 10 (wypowiadanie się przeciw rewolucji w obecności innych), wrócił znowu po 9 miesiącach w złym bardzo stanie zdrowia, zwolniony z obozu jako człowiek niezdolny do pracy. Ponieważ nie przyjęto go do kołchozu, pracował jako szklarz. W r. 1934 uwięziono go ponownie, a w r. 1937 zgładzono. Otrzymaliśmy wiadomość o tym pośrednią tylko drogą. Oficjalnie doniesiono nam na nasze zapytanie, że miejsce pobytu ojca jest nieznane.

W czasie tych przejść skończyłem siedmioklasową szkołę i nauczyłem się żelaznej tokarki. W r. 1937 zostałem zaciągnięty do wojska i przydzielony do „stroitielnych batalionow" bez prawa noszenia broni. Z wojska zostałem rychło zwolniony, gdyż komisja lekarska uznała mnie za niezdolnego do służby wskutek astygmatyzmu źrenic. Wróciłem na wieś i pracowałem jako ślusarz do r. 1940, w którym wstąpiłem do kołchozu „Krasnaja Zoria", gdzie znalazłem zatrudnienie jako rolnik i kowal. W domu swoim nie wolno mi było już mieszkać, ale stosunki w kołchozie były nie najgorsze, gdyż obejmował on znane mi wsie: Nowe Batoki, Gniezdowo, Gruszczenki i Zyłki, zamieszkałe przez wielu przychylnych nam ludzi. Na wojnę już mnie nie zmobilizowano, jako chorego na oczy.

Mieszkałem wówczas we wsi Gruszczenki, położonej na trakcie witebskim 3 kilometry od stacji Gniezdowo. Z miejsca pracy widziałem linię kolejową Smoleńsk—Witebsk, przebiegającą tuż, tuż. W okolicy było ciągle dość spokojnie. Umysły zajmowała wtedy wojna rosyjsko-fińska, dobiegająca swego pierwszego etapu. W początku marca 1940 zauważyliśmy, że do lasu Kozie Góry przyjeżdżają na roboty otwartymi samochodami więźniowie ze Smoleńska, zaopatrzeni w łopaty, mo-

tyki etc. Widziałem ich niejednokrotnie. Niektórzy z ludzi miejscowych rozmawiali z nimi i dowiedzieli się od nich, że w lesie katyńskim kopią duże rowy. Trwało to kilka dni. Fakt ten poruszył ludność, gdyż Kozie Góry uchodziły z dawna już za miejsce kaźni. W pierwszych latach rewolucji rozstrzeliwano tu ludzi przywożonych przygodnie i w niewielkich ilościach. Las zresztą był otwarty i chodziło się po nim swobodnie. W r. 1929 Kozie Góry objęło NKWD, otoczyło drutem kolczastym, od szosy zaś wstawiło drewniany płot. Na narożnikach i bramie wjazdowej wywieszono tablice z napisem: „Zaprietnaja Zona GPU. Wchod postoronnym licom wosprieszczon". We wnętrzu lasu w tym samym czasie postawiono budynek i nazwano go daczą. Stał on nad Dnieprem, który stanowi południową granicę lasu. W daczy stali zawsze ludzie stałej obsługi: dozorca, kucharz, służąca i szofer. Zresztą jednak w Kozich Górach było pusto. Żadnych budynków ani baraków, prócz daczy nigdy tam nie było. Niekiedy któryś z tubylców przechodził drut kolczasty i zapuszczał się w las na grzyby. Skoro go zauważono, był przepędzany. W okolicy ustaliła się opinia, że dacza jest może i rzeczywiście miejscem wypoczynkowym dla urzędników NKWD i ich rodzin, ale równocześnie, w razie potrzeby, miejscem postoju dla konwoju, stacją wstępną dla egzekucji i noclegowiskiem dla oprawców. W związku z tym mawiano: „Trzymaj język za zębami, bo cię wezmą do Kozich Gór". O wielkich jednak i masowych kaźniach w tym miejscu nie słyszano. Jeśli przywożono straceńców, to tylko w niewielkich grupach.

Od chwili wojny na terenie Kozich Gór zdawał się panować bezruch. Przysłanie więźniów na roboty w lesie świadczyło o jakichś większych zamierzeniach NKWD. Obserwowałem przeto szosę i linię kolejową z większą niż dotychczas bacznością.

W marcu 1940 pracowałem, jak zwykle, przy inspektach. Podczas pracy zauważyłem przejeżdżający drogą konwój samochodów. Najpierw samochód osobowy, później dwa wozy więzienne, zamknięte i czarne, znane powszechnie pod nazwą *czornyj woron*. Za nimi półtoratonówka. Czy samochody przewoziły kogoś, nie mogłem dostrzec, zauważyłem tylko, iż obok kierowcy siedział w nich czekista. W południe spotkałem się z siostrą, która pracowała w tzw. „ogorodnoj brygadie" i dowoziła nawóz do inspektów. Wioząc go mijała stację kolejową Gniezdowo i widziała tam świeżo przybyły transport z jeńcami wojskowymi. „Finow rasstrieliwat' woziat" — rzekła do mnie. Poruszony wiadomością, pobiegłem do kołchozu i spotkałem tam znajomego Romana Chrustalewa, który również woził nawóz w pobliżu stacji. Chrustalew widział również przybyły transport, utrzymywał jednak, że to nie są Finowie, lecz Polacy. Stary żołnierz, w Polsce był za tamtej wojny i mundury polskie znał.

Na drugi dzień pracując znów przy inspektach dostrzegłem drugi transport. Wówczas zrozumiałem, że dzieje się tu jakaś ciemna i groźna sprawa. Śledziłem jej przebieg od tej chwili z naprężeniem.

Pamięć o ojcu i jego krzywdzie odżyła we mnie z nową siłą.

Notowałem w pamięci każde zdarzenie, bacząc, aby się nic nie narażać zbyteczną ciekawością i gadatliwością. O wiadomości nie było zbyt trudno, gdyż ludność miejscowa, zdumiona i wzburzona wewnętrznie, dlaczego rozstrzeliwują Polaków, rozprawiała dużo o Katyniu. Los przywożonych nie obudzał żadnych wątpliwości. Rozmowy z obsługą samochodów utwierdzały tylko przypuszczenia. Przytoczę jedną z nich. Brat mój przyrodni, Andriejew Anani, już dziś nieżyjący, miał znajomego czekistę, który kierował transportami. Nazwiska czekisty nie pamiętam, wiem jednak, że w r. 1928 był przewodniczącym „sielsowieta Syrlipieckogo" w katyńskiej „wołosti". Stąd przeszedł na przeszkolenie w GPU. Brat mój, spotkawszy go na torach kolejowych, zapytał: „Gdzież wy to wozicie tych Polaków, do obozu czy co?" Czekista odpowiedział: „A gdzież tu są jakie obozy?" — „Obozów rzeczywiście nie ma" — rzekł mój brat. — „No to co pytasz, gdzie ich wiozą?"

Transporty szły i szły. Z rozmów i obserwacji mogłem sobie odtworzyć taki stan rzeczy: jeńców przywożono dużymi transportami z Kozielska do Smoleńska.

Że Smoleńsk był nadawczą stacją transportów, stwierdzili kolejarze smoleńscy.

Mnie opowiadał to Siemion Andriejew, ślusarz kolejowy na stacji Krasnyj Bor.

W Smoleńsku pociąg rozbijano na mniejsze składy. Skład taki obejmował lokomotywę i dwa, trzy zakratowane wagony więzienne, zwane stołypinkami, jedne dwuosiowe, drugie czteroosiowe. Transporty te puszczano bez wyjątku do stacji Gniezdowo w miarę wolnego przejazdu, dwiema liniami: aleksandrowską i rigorłowską. Z tych rigorłowską [tj. Riga—Orieł, J.T.] ruch szedł na ogół w kierunku przeciwnym, to jest ku

Smoleńskowi, a nie od Smoleńska. Zdarzało się jednak, że puszczano po niej krótkodystansowe pociągi i od Smoleńska. Na przodzie lokomotywy umieszczano w tym wypadku czerwoną chorągiewkę. Ponieważ linia rigorłowska przechodziła obok stacji Gniezdowo w pewnej odległości, połączono ją ze stacją specjalnym odgałęzieniem, którym podstawiano nieraz i transporty z jeńcami. Większość ich jednakże przybywała linią aleksandrowską.

Wszystkie transporty wyładowywano na ślepym torze u boku północnej strony stacji. Tor ten był krótki i nie zezwalał na przybycie większego pociągu, ułatwiał jednak skrytość roboty, gdyż ludzie tu wyładowywani nie pokazywali się na stacji. Wzgląd ten zaważył niewątpliwie na tym, że w Smoleńsku rozbijano pociąg na małe składy wagonów. Po przybyciu pociągu podjeżdżały od razu samochody i zabierały jeńców. Bagaż ładowano osobno na półtoratonówkę. Straże czekistów z jednej i drugiej strony wagonu pilnowały, aby nikt nie wyszedł na tor. Przeładowany transport odjeżdżał natychmiast do Kozich Gór. Pory dnia, w których przybywały transporty, były różne, zależnie od ruchu na linii.

Nigdy jednak pociąg nie przybywał nocą. Wymagała tego precyzyjność roboty, jak i fakt, że załoga egzekucyjna w Kozich Górach była nieliczna. Obawiano się widocznie, że nocą któryś ze skazańców może jednak uciec.

Transportom przyświecała poza tym zasada, aby żaden z nich, skoro się znalazł na terenie Kozich Gór, nie mógł się już zetknąć z następnym. Można przyjąć za pewne, że w chwili gdy do daczy przybywał kolejny transport, ludzie z poprzedniego byli już zastrzeleni i złożeni w grobach. Ponieważ trasę między Gniezdowem a Kozimi Górami obsługiwały stale dwa *czornyje worony*, ilość skazańców przeznaczonych na jeden obrót egzekucyjny musiała być z góry ustalona. Jeden pociąg przybyły z Kozielska do Smoleńska był na ogół rozładowany w przeciągu jednego dnia. Jeśli nie zdołano go „załatwić" w całości, część wagonów nocowała na stacji w Smoleńsku i czekała na swą kolejkę do następnego ranka.

Jaka Czeka towarzyszyła transportom kolejowym, nie mogłem ustalić. Szoferzy i strażnicy na samochodach należeli do Czeka smoleńskiej. Jednego z szoferów poznałem. Jeździł na drugiej maszynie. Nazywał się Razuwajew Jakim. Imię jego skrócono i nazywano go Kimem. Kim otrzymał po wypadkach w Kozich Górach nagrodę pieniężną i kupił sobie motocykl. Cały miesiąc jeździł potem na nim i pił. Razem z Kimem hulał

też motocyklem szofer z pierwszego *worona*, mianowany później kierownikiem garażu NKWD.

Ludność miejscowa utrzymywała, że transporty do Smoleńska dostawia Czeka obca, wozi z Gniezdowa do Kozich Gór Czeka smoleńska, a egzekucji dokonuje Czeka mińska. *Czornych woronow* było na terenie Kozich Gór cztery. Dwa obsługiwały przestrzeń Gniezdowo—Kozie Góry, dwa pełniły służbę we wnętrzu lasu.

Sądzę, że jeńców podwożono do daczy, gdzie ich od razu spisywano, wywoływano jednego po drugim i zabijano na miejscu lub odstawiano na miejsce kaźni do lasu.

Kaźń nie mogła się odbywać nad samymi brzegami rowów, gdyż skoro je później odkryto, zwłoki leżały równo, jedne na drugich. Strzałów w lesie nie słyszałem i wątpię, by je ktokolwiek słyszał. Dacza położona jest daleko od szosy i ludzkich zabudowań, a las głęboki. Jeńców, jak wiadomo, zabijano jednym strzałem z rewolweru w tył czaszki.

Czeka zwykła przy tym podczas skrytych egzekucji puszczać w ruch motory samochodów, których hałas głuszył odgłosy strzałów i krzyków.

Transportów ze skazańcami widziałem wiele. Ostatni 17 kwietnia 1940. Czy przychodziły później jeszcze, nie wiem. Mogły to być jednak tylko wypadki sporadyczne.

Co spowodowało wstrzymanie transportów, trudno powiedzieć. Być może jednak, że oddziałało tu także i rozprzężenie załogi egzekucyjnej, otrzymującej spore przydziały wódki. Dokonane później odkrycie mogił wykazało, iż tylko w głównej, największej mogile zwłoki ułożone były w wielkim porządku. W bocznych panował nieład [14]. Sporo trupów miało tu więzy na rękach i usta zatkane kneblem. O to, by zabitych ułożyć twarzą w dół, też już nie dbano.

Zdarzyła się zresztą i okoliczność innego rodzaju, wskazująca, że zasadniczy proces egzekucji ukończył się 17 kwietnia. 23 czy 24 kwietnia szedłem szosą o grubym już zmierzchu.

[14] Uwaga nieprecyzyjna. Dr M. Wodziński w swoim sprawozdaniu z ekshumacji katyńskich w 1943 r. pisze: „W grobie Nr 2 miało miejsce nie spotykane w innych grobach nader staranne uporządkowanie zwłok w ten sposób, że wszystkie zwłoki ułożone były twarzą do ziemi, ręce zaś miały skrzyżowane na plecach" (*Zbrodnia katyńska...*). Nie była to największa mogiła, był nią tzw. grób nr 1.

Ujrzałem wtedy światła reflektorów i [usłyszałem] szum motorów większej samochodowej kolumny. Rychło przesunął się koło mnie transport obejmujący 10—12 trzytonowych wozów. Zmierzał on z kierunku Kozich Gór ku Smoleńskowi. Wiózł jakieś rzeczy. Niektóre wozy były całkowicie przykryte brezentem, inne tylko częściowo, dzięki czemu mogłem zauważyć złożone na wozach kuferki, futra, plecaki obcego i cudzoziemskiego wyglądu. Na każdym wozie siedziało lub leżało na rzeczach dwu czekistów.

Od chwili tej ruch dokoła Kozich Gór ustał. Był słuch, iż latem 1940 rozstrzelano w lesie ludzi cywilnych, w tym jednego księdza. Miały to widzieć dwie dziewczyny, które się znalazły przypadkiem w lesie.

Na ogół jednak straż w Kozich Górach wzmocniono. Po lesie chodziły patrole z psami. Jeden z moich dalekich krewnych, Aleksander Kriwoziercow, chłopiec 17-letni, przeszedł zbierając grzyby „zaprietnoju zonu". Tam został napadnięty i pokąsany przez psa, którego odwołał czekista grożąc chłopcu, że na drugi raz zostanie przez psy rozszarpany.

Zbliżające się nowe wypadki wojenne zwróciły moją uwagę w innym kierunku. Wybuchła wojna z Niemcami. Front rosyjski został przełamany i Niemcy jęli się szybko zbliżać do Smoleńska południowym brzegiem Dniepru.

Północny brzeg, a więc i katyński las, zostawili na uboczu.

Smoleńsk zaatakowali 16, a wzięli 19 lipca. Od zdobycia Smoleńska minęło 9 dni, nim patrole ich pojawiły się na naszym terenie. W czasie tym panował w okolicy zupełny chaos i anarchia. Pozostawione załogi i urzędy zbiegły ku północy. Niektóre składy płonęły, inne grabiono. Na stacji Gniezdowo był skład mąki i żyta. Część jego wywieziono, część rozebrała ludność. O żadnym porządku nie mogło być mowy. Teren nasz zajęli w końcu Niemcy bez bitwy.

Już w sierpniu chadzali ludzie swobodnie po Kozich Górach. Ja piłowałem w lesie opałowe drzewo dla Niemców. Ci Kozimi Górami nie interesowali się zupełnie. W daczy zamieszkał jakiś wyższy oficer. W lesie żadnej straży nie było.

Obojętność ta skłoniła mnie do przypuszczenia, że zdarzenie z polskimi oficerami nie jest tak ważne, jak mi się wydawało. Przemyśliwałem wówczas więcej nad tym, czy klęska poniesiona przez Rosję nie spowoduje ostatecznego końca bolszewizmu w mojej ojczyźnie.

Na terenie naszym zaczęła wówczas działać Geheime Feldpolizei. Dowódcą jej był por. Ludwig Voss. Voss dowiedział się o mnie od sąsiadki mojej w Batokach, u której teraz mieszkałem. Z pochodzenia była ona Polką. Panieńskie jej nazwisko było Kozłowska, po mężu nazywała się Siemianienko. Mąż jej, listonosz, aresztowany za przekonania antyrewolucyjne, siedział od 1937 r. w więzieniu. Emilia Osipowna Siemianienko miała syna Eugeniusza, który był moim przyjacielem. Tak ona, jak i jej syn rozmawiali dawniej sporo o wypadkach w Kozich Górach.

Eugeniusz, znający moje antybolszewickie przekonania,

zwrócił na mnie uwagę Vossa, z którym się stykał, służąc do pomocy jako tłumacz, gdyż znał niemiecki język. Wstąpiłem wówczas do *Ordnungs Dienstu* złożonego z ludności miejscowej. Wciągnął mnie do niego mój brat przyrodni.

My, ludzie poglądów antysowieckich, staraliśmy się wtedy opanować *Ordnungs Dienst*, w obawie, aby nie wtargnęli do niego bolszewicy i nie działali na naszą szkodę.

W tym samym mniej więcej czasie pojawili się w pobliżu Smoleńska robotnicy polscy, zaciągnięci do organizacji Todta. Skoszarowani w wagonach, na terenach kolejowych koło Breckogo Mosta, to jest u skrzyżowania linii aleksandrowskiej z rigorłowską, pracowali przy zbieraniu żelaznego łomu wzdłuż torów. Latem 1942 doniósł mi niejaki Aleksander Jegorow, iż Polacy odkopali groby w Kozich Górach i znaleźli w nich swoich oficerów. Zaniechana już sprawa ogarnęła mnie ponownie, ale podjąć jej nie mogłem, nie wiedząc do kogo się zwrócić. Rok 1943 przyniósł pewne zmiany w stosunku Niemców do rosyjskiej ludności. Pochód ich w głąb Rosji został wstrzymany, sytuacja stawała się mniej pewna. Organy ich propagandowe ożywiły się i spowodowały ukazanie się szeregu rosyjskich wydawnictw, których zadaniem było zohydzanie sowieckiej władzy. Pewnego dnia, bodajże w styczniu 1943, przeczytałem w gazecie smoleńskiej „Nowyj Put'" krótki artykuł o formowaniu w Rosji armii polskiej przez gen. Sikorskiego, przy czym zwracano uwagę, że Sikorski nie może doliczyć się i odnaleźć oficerów polskich, którzy się dostali do niewoli rosyjskiej. Dodawano przy tym, że los tych Polaków budzi niepokój rządu polskiego w Londynie.

Powróciłem myślą do Kozich Gór, których tajemnica ciągle mnie niepokoiła. Poszedłem do tłumacza pracującego w „Ge-

heime Feldpolizei" i rzekłem mu w rozmowie: „Sikorski szuka swoich oficerów na Syberii, a oni leżą tu, zastrzeleni w Kozich Górach". Tłumacz przyjął to obojętnie i pominął milczeniem. Zgniewany, dorzuciłem mu wychodząc: „Jeżeli was ta sprawa ciekawi, gotów jestem pojechać do lasu i rozkopać grunt".

W tydzień czy dwa później przyszedł do mnie przyrodni brat Iwan z poleceniem, abym następnego dnia przyszedł do tłumacza, gdyż mamy gdzieś pojechać.

W oznaczonym terminie, bodajże 18 lutego 1943 przyszedłem rzeczywiście do urzędu Geheime Feldpolizei w Gniezdowie. Tam wsadzono mnie do dwukółki, razem z Iwanem Andriejewem i Griegoriem Wasilkowem. Wasilkow, jak i ja, pracował w *Ordnungs Dienst*. Andriejew dostawiał żywność Niemcom. Do wózka naszego wrzucono łopaty i kilofy, po czym ruszyliśmy w drogę, której celu jeszcześmy się nie domyślali. Tłumacz i jakiś drugi podoficer niemiecki pojechali naprzód na motocyklu.

Obydwaj czekali nas u wjazdu do Kozich Gór. Podjechaliśmy do daczy, gdzie zastaliśmy kilku Niemców, krzątających się koło budynku. Przybyły z nami podoficer zadał jednemu z nich jakieś pytanie. Ten rozłożył ręce, jak człowiek, który nie wie o niczym. Tłumacz zwrócił się wówczas do mnie z zapytaniem, gdzie są tu ci zakopani oficerowie. Położenia mogił nie znaliśmy. Andriejew ukazał wówczas na niejakiego Kisielewa, mieszkającego tuż obok Kozich Gór. Tłumacz kazał go przywołać, a ja pobiegłem do niego. Gdym wszedł do chaty, Kisielew spał na piecu. Usłyszawszy o co chodzi, włożył kożuszek i poszedł ze mną. Skoro wyszliśmy na drogę, rzekł: „Ich tu Polacy już rozkopali". Odrzekłem: „Polacy ich rozkopali, a teraz rozkopiemy my". Stary mruknął: „Dawno trzeba było. A to leży jak grzech na duszy".

Zeszliśmy się na drodze z Niemcami i moimi towarzyszami. Kisielew zaprowadził nas w pewną część lasu, przystanął i rzekł: „Tu leżą". To, co nam wówczas ukazał, było największą z mogił. Można ją było teraz odróżnić, gdyż brzegi jej były wpadłe. Maskowały ją również świeżo powalone drzewa i niedawno sadzone młode sosenki.

Wypoczywając podczas zmiany zauważyłem w pewnym miejscu krzyżyk na mogile i zapytałem, co to jest. Kisielew odpowiedział, że krzyż ten postawili Polacy. — „A tam stoi drugi" — ukazał w inną stronę. Ujrzałem drugi krzyż, już większy.

Skoro wyryliśmy jamę głębokości człowieka, stojący nad nią Andriejew rzekł: „Czuć". Ponieważ Wasilkow nie mógł już

wytrzymać zaduchu, zeskoczyłem do jamy i odrzuciwszy czarną ziemię, natknąłem się na zwłoki w płaszczu. Pod łopatą coś zachrzęściło, pochyliłem się i wyjąłem guzik metalowy, na którym był orzeł. Pokazałem go tłumaczowi i schowałem do kieszeni. Zostawiliśmy dół otwarty i pojechaliśmy z powrotem.

W Gniezdowie zastaliśmy Vossa, który przyjechał tam samochodem. Pokazałem guzik znaleziony w mogile. Obejrzał go i kazał zaraz wracać z powrotem do Kozich Gór.

Na miejscu Voss rozejrzał się dokładnie i kazał jamę rozszerzyć. Skoro odsłoniliśmy trupy, kazał wydobyć łopatą jedną głowę, przyjrzał się jej, kazał włożyć z powrotem, przysypać ziemią i wracać do Gniezdowa.

Tu spisano z nami krótki protokół. Wasilkow zmieszał się i nie chciał go podpisać, wskutek czego odprawiono go do domu. Mnie i Andriejewa sprowadzono do pokoju, gdzie odebrał od nas krótkie zeznanie Gustaw Ponka, Austriak z Wiednia, służący w Geheime Feldpolizei.

Jestem przekonany, iż wypadki tego dnia wpłynęły na to, iż Niemcy zwrócili baczną uwagę na sprawę Katynia, a człowiekiem, który dał impuls tej sprawie, byłem ja, aczkolwiek wciąż jeszcze nie doceniałem jej wagi.

Po dwu tygodniach Niemcy, przeprowadziwszy staranny wywiad wśród ludności miejscowej, zebrali większą ilość robotników i przystąpili do systematycznego rozkopywania mogił.

Przejściowa choroba nie pozwoliła mi brać w tym udziału. Kiedym ozdrowiał i wyszedł na szosę, przejeżdżający Ponka zabrał mnie i zawiózł do Kozich Gór. Kilka jam było już otwartych i kilkadziesiąt zwłok wydobytych. Opodal głównej mogiły stał szałas z drzewa.

W parę dni później objąłem obowiązek dostarczania robotników miejscowych do robót na cmentarzysku. Nie opuszczałem już Kozich Gór aż do ukończenia prac. Przybycie specjalistów wprowadziło w roboty nowy ład. Wydobyte trupy numerowano, dokumenty przy nich znalezione, cenności i odznaki wsadzano do specjalnych kopert, które zaopatrywano numerem zwłok. Materiały te odprawiano do Gruszczenki, gdzie przy urzędzie Vossa urządzono specjalny lokal dla sprawy Kozich Gór.

Przez kwiecień i maj przybyło do Katynia dużo komisji polskich i międzynarodowych. Byłem obecny przy większości z nich, należałem bowiem do grupy świadków spośród ludności miejscowej, która była indagowana przez gości. Żadnego nacisku ze strony Niemców na zeznania nasze nie było. Zwy-

czaj panował taki, że Niemcy podczas rozmów tubylców z gośćmi stawali w osobnej grupie. Czasami pośredniczył tłumacz ich albo nasz. Tłumaczem naszym był wspomniany już Eugeniusz Siemianienko.

Ostatnią jamę otworzono na Wielkanoc 1943, roboty zakończono w święto Trójcy (tydzień po Zielonych Świętach). Mogił przez cały czas odkryto siedem. Ósmą zaczęto. Zwłok, według posiadanych przeze mnie wiadomości, było około czterech tysięcy.

Po zakończeniu robót wszystkich miejscowych świadków zdarzenia, między nimi i mnie, zawieziono do Gruszczenki. Tam Voss utrwalił nasze głosy na płytach gramofonowych, po czym stanęliśmy przed sędzią niemieckim w randze generała, złożyliśmy już pod przysięgą zeznania i akt odnośny zaopatrzyli podpisem.

Zbliżała się chwila odwrotu Niemców spod Smoleńska. W okolicy naszej zapanował popłoch i niepokój. Ludziom, którzy się zaangażowali w sprawie katyńskiej, grożono zemstą. Sądzę jednak, że były to tylko wystąpienia miejscowych komunistów, działających na własną rękę. Były bowiem i oznaki świadczące, że z tamtej strony frontu przenika poprzez organa dywersyjne instrukcja, aby nas, którzyśmy występowali w sprawie katyńskiej jako świadkowie, zatrzymać. Miałem na to liczne dowody. Raz znalazłszy się we „wołostnym uprawleniju" spotkałem tam Siergieja Mikołajewa, którego syn był komunistą. Mikołajew zagadał o Katyniu i w końcu rzekł: „Ty z Niemcami nie odjeżdżaj. My cię tu obronimy". Odrzekłem, że jeszcze nie wiem, co pocznę.

Innym razem udałem się do Kisielewa, aby się z nim naradzić, co czynić. Z Kisielewem mieszkał wówczas Timofiej Siergiejew, kandydat do partii komunistycznej. Skierowałem rozmowę na bliską chwilę wejścia bolszewików i zapytałem starego, co zamyśla robić. Siergiejew wmieszał się od razu: „Kisielew nigdzie stąd nie pójdzie. On stary. Powie, że Niemcy zmusili do zeznań, i spokój".

Mam wrażenie, że bolszewicy zwracali największą uwagę na Kisielewa, stary bowiem najwięcej z nas wszystkich wiedział o sprawie Katynia.

Z kolei zaszedłem do chaty Matwieja Zacharowa, który był wójtem w Batokach. Ciotka wezwała mnie już z ganku. Siedliśmy do stołu przy wódce. Namawiałem wujka do wyjazdu. Tu wmieszała się żywo ciotka: „Ty, Wańka, dużo umion, wiele wiesz, ale wam nic nie będzie. Ja rozmawiałam z jednym

z partyzantów. Partyzanci mówią, żebyśmy wszyscy zostali na miejscu, a oni nas obronią".

Rozmów podobnych miałem jeszcze wiele. Były i propozycje ze strony partyzantów, abyśmy do nich przymknęli od razu, a oni nas schronią aż do wejścia Czerwonej Armii.

Wkrótce bolszewicy podeszli już tak blisko, że słychać było odgłosy strzałów. Smoleńsk został przez Niemców opuszczony. Zgłosiliśmy się z Andriejewem do tłumacza Vossa, który właśnie wyjeżdżał. Ten wziął na samochód tylko Andriejewa, gdyż dla mnie miejsca nie miał.

Parę dni później, 24 września, pozbierałem trochę żywności i rzeczy i w towarzystwie matki i sześcioletniej siostrzenicy wyruszyłem z kolumną samochodów niemieckich na zachód. Za rzeką Orszą spotkałem siostrę, która ruszyła przedtem naprzód i razem pojechaliśmy ku Warszawie.

Po pięciotygodniowym postoju w Polsce zapisałem się na robotnika do batalionu kolejowego i powróciłem do Mińska, gdzie przebywałem jakiś czas. Tam spotkałem Andriejewa i Eugeniusza Siemianienko z matką. Jakie są ich dalsze losy, nie wiem. Z Mińska, wiosną 1944, odjechałem pod Łódź, gdzie rozformowano nasz batalion. Jako cywilny już robotnik dostałem się do Dreilinden pod Berlinem.

Wojna zbliżała się do końca. Ruszyłem znów na zachód. Matkę musiałem zostawić w Merk pod Naum, gdyż nie mogła za mną podążyć. Pod Hamburgiem spotkałem rosyjskiego jeńca „Miszkę", który przybył ze mną i do Włoch. Nazwiska Miszki nie znam. Zdaje mi się jednak, że jest polskie:

bodajże Stankiewicz.

Razem z Miszką dostaliśmy się do Bremen. Myśl o Kozich Górach nie opuszczała mnie.

Rozpoczęty proces w Norymberdze zdawał się wróżyć, iż sprawa Katynia doczeka się rozwiązania.

W Bremen zgłosiłem się do komendy amerykańskiej z oświadczeniem, iż chcę złożyć ważne zeznanie. Urzędujący tam Amerykanin posłuchał mnie, wyśmiał i radził mi zwrócić się do oficera Czerwonej Armii, który poradzi mi, co mam zrobić. Zniechęcony i bliski rozpaczy, zacząłem szukać kontaktu z Polakami. Dostałem się do polskiego obozu dla ludności cywilnej i tam wreszcie natknąłem się na oficera polskiego o nazwisku Sołtys. Ten skomunikował mnie ze sztabem polskim w Meppen, skąd po złożeniu zeznań, zostałem skierowany do Włoch.

Jeszcze o Kriwoziercowie w formie komentarza

Chciałbym dorzucić jeszcze kilka słów o Kriwoziercowie, którego Józef Mackiewicz nazwał „najważniejszym świadkiem katyńskim".

Dla jego sylwetki ważna jest właśnie całość zeznania zanotowanego przez Ferdynanda Goetla. Siłą rzeczy zeznania sądowe, suche i ścisłe, zawieszały osoby zeznających w psychologicznej i historycznej próżni. Goetel, robiący swoje notatki w innych warunkach i jako pisarz, zanotował także te fragmenty zeznań Kriwoziercowa, które szerzej ukazują jego historię rodzinną, tragedię życia w czerwonym państwie totalitarnym. Widoczny jest tu obraz świadka nienawidzącego komunizmu i świadomego jego zbrodni, przeciwnika ustroju, który zabił mu ojca. To z jego zeznań wyziera także ludzki rys osobowości staruszka Kisielewa, pragnienie ludzkiej, wolnej od „grzechu" prawdy. Goetel dorzucił także kilka innych szczegółów o Kriwoziercowie:

„Powątpiewań w prawdziwość swej postawy nie obudzał we mnie żadnych. Przywrócił mi także i zachwianą już wiarę w poczucie humanitaryzmu, zawarte w duszy rosyjskiego ludu. Wychowany już w Rosji bolszewickiej, należał do młodego pokolenia. Relacja jego świadczyła, że nie był wyjątkiem w swoim otoczeniu. Tu, w Ankonie, na obcym mu zupełnie gruncie, budził współczucie, graniczące ze zdumieniem, tak jak budziły je kiedyś w Warszawie tabory wsi rosyjskich ciągnących na zachód w nadziei, że odnajdą tam zagubioną prawdę o życiu i treść życia.

Pił. Pijany zjawiał się nieraz u mnie miotając wyzwiska i domagając się, aby go niezwłocznie zetknąć z sądami angielskimi czy amerykańskimi. Przypominałem mu wówczas doświadczenia poczynione z prokuratorem amerykańskim. Odchodził zgnębiony. Niósł w sobie rozpacz, trawiącą go nieustannie. Spotkawszy go wówczas we Włoszech nie wiedziałem jeszcze, że kiedyś, gdy zginie już na terenie Anglii w tajemniczych okolicznościach, będę musiał przejąć i jego katyńskie rzecznictwo".

Uwzględnienie relacji Goetla ukazuje nam dopiero w pełni zdekonspirowanie zbrodni katyńskiej jako wynik świadomego działania moralnego ludzi walczących ze znienawidzonym ustrojem. Dopiero opór wobec władzy sowieckiej czyni logicznym całe ich zachowanie. I to są chyba wnioski najważniejsze z przedstawionego materiału. Trzeba jeszcze raz powtórzyć: być może bez Kriwoziercowa zbrodnia katyńska nie zostałaby nigdy ujawniona.

Warto jeszcze zwrócić uwagę, że Niemcy nie eliminowali z zeznań drobnych nieścisłości i luk w pamięci świadków.

Ważnym szczegółem dotychczas zamieszczonych zeznań jest stwierdzenie prawie przez wszystkich świadków, jak wyglądała trasa „ostatniej drogi" ze stacji w Gniezdowie: ulicą w Gniezdowie do szosy, stamtąd w lewo i szosą aż do zakrętu w lewo do Lasu Katyńskiego. Nie może chodzić o polną drogę, gdyż albo mamy do czynienia z terminem *Landstrasse* (droga bita) albo *Rollbahn* (droga bita w terminologii wojskowej). Na tym tle hipotezy o bocznej dróżce, którą miano jeździć z Gniezdowa do lasu, nie uwzględniają podstawowych źródeł. Być może wyjątkowo dowożono jeńców także samochodami ze Smoleńska. Ani jedno z zeznań nie mówi o przewożeniu jeńców do NKWD w Smoleńsku (choć wiemy, że pierwszy transport z marca wyładowano także w Smoleńsku). Niektóre zeznania wyraźnie sytuują transporty już na marzec. Znaczyć by to mogło, że odosobniony transport marcowy z eskortą na stacji w Gniezdowie, zanotowaną przez por. Bartysa — utkwił wszystkim w pamięci [15].

Zeznanie 5
[przekład z rosyjskiego] [16]

Zeznanie Iwana Kriwoziercowa, zanotowane przez Józefa Mackiewicza i opublikowane w jego książce *Katyń* (w nawiasach numer strony).

Mackiewicz pisze: „polityczna sytuacja w Europie jest tego rodzaju, że nie mogę podać, gdzie i przy jakiej okazji spotkałem się z Iwanem Kriwoziercowem, który akurat w te dni, gdy Trybunał Norymberski zajmował się zbrodnią katyńską, szczegółowo opowiadał mi, jak wszystko się odbywało" (s. 157).

Porównanie tego, kolejnego zeznania Kriwoziercowa z przytoczonym wyżej najdłuższym zeznaniem, zanotowanym przez

[15] Sugestia Rajmunda Szubańskiego (*Uściślenia w sprawie Katynia*, „Wojskowy Przegląd Historyczny" 1991, nr 3—4, s. 402) w kwestii ustalenia daty egzekucji por. Bartysa równo o miesiąc później (ze względu na możliwą pomyłkę w zapisie daty miesiąca), choć logicznie uzasadniana, nie wydaje się słuszna w świetle innych okoliczności, związanych z wywiezieniem por. Bartysa (był przecież świadek, który ocalał z tego transportu). Szubański zdaje się ich nie brać pod uwagę. Istniejąca fotokopia notatki por. Bartysa nie pozostawia także wątpliwości co do zapisanej daty.

[16] W czasie pisania tego szkicu nie był mi dostępny oryginał polski książki wydawanej przez Mackiewicza w innych językach, znajdujący się w maszynopisie w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Goetla, zdaje się wskazywać, że Mackiewicz wprowadził do swego zapisu fragmenty posiadanej zapewne kopii tamtego zeznania, uzupełniając ją oryginalnymi fragmentami własnej rozmowy z Kriwoziercowem. Odnotować warto, że relacja o pierwszym, marcowym transporcie, widzianym przez Kriwoziercowa, nosi dokładną datę: „Pamiętam ranek 14 marca 1940 roku" (s. 161). Chodzi o transport, wywieziony z Kozielska 8 marca, w którym zginął między innymi por. Bartys. Jeszcze jedno potwierdzenie tej marcowej deportacji.

Prócz małych wariantów wcześniej zanotowanych zeznań Kriwoziercowa ta wersja przynosi komentarz do uwag komunikatu Burdenki o wymuszaniu zeznań przez Gestapo na Kisielewie: „nikogo oni [Niemcy] nie tknęli nawet palcem. Mówiliśmy prawdę, to wszystko. A prawda zupełnie nie była im [Sowietom] na rękę. O Kisielewie mogę powiedzieć: i przedtem, i potem słyszał na oba uszy, choć był stary. Ręce miał w porządku, silne. Żegnał się ze mną i ściskał moją rękę swoją prawą ręką, a w lewej trzymał jakiś zawiązany powróz i podtrzymywał jeszcze taczkę. Znaczy to, że władał oboma rękami. A to, że teraz ma ręce połamane i ogłuchł — temu ja się nie dziwię. Raczej można się dziwić, że jeszcze żyje. Jeśli w ogóle żyje" (s. 169).

Inny fragment zeznania Kriwoziercowa przynosi wyjaśnienie następującego stwierdzenia komunikatu Burdenki: „Komisja ustaliła dwa wypadki rozstrzelania ludzi [przez Niemców], którzy nie umieli trzymać języka za zębami. Tak rozprawiono się z byłym policjantem niemieckim Zagajewem i A. Jegorowem, który pracował przy rozkopywaniu mogił w lesie katyńskim" [17]. A teraz Kriwoziercow: „Nikt z nas, świadków, nie ucierpiał [od Niemców] prócz Aleksandra Jegorowa. Przez cały czas pracował on przy wyciąganiu trupów... i kradł. Jeśli znalazł coś mniej czy bardziej cennego w bluzie munduru czy za cholewą nieboszczyka, od razu sobie przywłaszczał. Wyciągnął jakieś złote monety, obrączkę... Złapali go z dowodem przestępstwa i rozstrzelali".

A wreszcie Kriwoziercow nie potwierdził wiadomości o rozstrzelaniu (według komunikatu Burdenki) żadnej grupy robotników rosyjskich. W okolicy było raczej spokojnie: „Tak się złożyło, że w naszych okolicach obław nie było, chociaż wszyscy wiedzieli o strasznym terrorze w innych miejscach. Zdarzył się u nas taki jeden przypadek, ale nie jesienią 1941 roku,

[17] *Komunikat Komisji Specjalnej do ustalenia i zbadania okoliczności rozstrzelania przez niemieckich najeźdźców faszystowskich w lesie katyńskim jeńców wojennych — oficerów polskich*, Moskwa 1945, s. 42.

lecz w lecie 1942. A było tak. W najbardziej zapadłych miejscowościach zaczęła się pojawiać partyzantka z pomocą agentów, posłanych przez linię frontu. Raz pojawił się w Gniezdowie były student smoleńskiego instytutu medycyny. Jego nazwisko wyleciało mi z głowy, ale wszyscy go znali, bo był z miejscowych. Tylko nikt nie wiedział, że on służył w niemieckich organach bezpieczeństwa SD *(Sicherheitsdienst)*. Odwiedził tu znajomych, znanych z komunistycznych przekonań. Zaszedł do studentki Ninki Czerkiny i zaczął przy niej wyśmiewać tchórzostwo tutejszych komunistów i wyrzucać, że niczego nie robią. Prowokował ją. Studentów, mówił, mamy wielu, a mały z nich pożytek. Ninka zaczęła przeczyć i wygadała się, że akurat tworzy się partyzancka grupa, którą dowodzi były sekretarz komunistycznej jaczejki, pseudonim »pułkownik Sasza«. Opowiedziała mu i inne szczegóły. Prowokator wrócił do Smoleńska i wszystko wydał Niemcom. Niedługo potem Niemcy urządzili obławę. Aresztowali około 30 osób i 11 z nich rozstrzelali. Była to jedyna obława i trwała tylko jedną noc" (s. 165—166).

Ta relacja Kriwoziercowa dodaje barw temu, co mówił on Ferdynandowi Goetlowi: o pro- i antysowieckich tendencjach w Gniezdowie i okolicy. Swojego stosunku do opowiedzianego wydarzenia Kriwoziercow nie zdradził, ale można się domyślać, że był po stronie tego wszystkiego, co osłabiało siłę komunistów. I tylko tak niezależny człowiek, jak Mackiewicz, mógł sobie pozwolić na opublikowanie podobnego fragmentu zeznania Kriwoziercowa.

EPILOG HISTORII

Słowa epilog nie używa się na ogół w liczbie mnogiej. A jednak historia świadków rosyjskich w sprawie Katynia zna różne epilogi. Epilog pierwszy został napisany przez morderców i w ich mniemaniu miał być epilogiem tej historii po wsze czasy. To cytowany tu już *Komunikat*... tzw. komisji specjalnej akademika Burdenki, stanowiący załącznik do farsy powtórnej „ekshumacji" grobów katyńskich przez komisję sowiecką w styczniu 1944 r. (w rzeczywistości groby zostały „przygotowane" wcześniej, zresztą o prawdziwym wyglądzie tej ekshumacji właściwie nie wiemy nic wiarygodnego). Końcowe strony komunikatu zawierają *Akt ekspertyzy sądowo-lekarskiej* i *Orzeczenie komisji biegłych*. Ten dokument-farsa, stanowiący opis farsy ekspertyzy, został poprzedzony inną farsą, a mianowicie o wiele dłuższym wywodem o historii zbrodni,

popełnionej — w myśl komunikatu — przez hitlerowców. Wywód ów poparto zeznaniami rosyjskich świadków. Zadałem sobie trud policzenia tych świadków: w porównaniu ze skromną liczbą siedmiu świadków z *Amtliches...* jest ich tutaj aż sześćdziesięciu! To wprost niewiarygodne, że udało się przesłuchać aż tylu świadków w krótkim czasie od końca września 1943 r. (wkroczenie znów Armii Czerwonej do Smoleńska i na teren Lasu Katyńskiego) do końca stycznia, a dokładnie do 24 I 1944 r. (tak datowany jest bowiem *Komunikat...*).

Ale nie musieli oni być wcale przesłuchiwani, gdyż cały komunikat powstał w propagandowej komórce NKWD (ktoś rzucił myśl, że było to może ostatnie dzieło literackie Aleksego Tołstoja, znanego pisarza sowieckiego, członka komisji Burdenki). Zapewne było to dzieło zbiorowe, pełne niekonsekwencji, z których się wyśmiewano, gdy np. jeden ze świadków (właśnie nieżyjący już Aleksander Jegorow) opowiada w marcu o tym, co zdarzyło się w kwietniu. „Zabili go i uciekł", powiada o tym polskie przysłowie. I byłoby to śmieszne, gdyby nie dotyczyło próby jednego z największych fałszerstw urzędowych w dziejach nowożytnych.

Nie tu miejsce na opis struktury i szwów tego wyjątkowo zresztą nieudolnie spreparowanego kłamstwa. Zdało ono jednak egzamin eksportowy, stanowiąc formalną podstawę zatuszowania zbrodni przez zachodnie mocarstwa wielkiej koalicji. Później zaś służyło jako dowód propagandowy dla partii komunistycznych na świecie. Pełny opis tego kłamstwa będzie mógł zostać dokonany po analizie dokumentów pozostałych po pracach komisji Burdenki (pewne materiały opublikował już w Rosji W. Abarinow) i żebraniu oświadczeń niektórych żyjących jeszcze świadków, cytowanych w komunikacie Burdenki. Z tym trzeba się spieszyć (żyje np. jedna z pracownic daczy z Lasu Katyńskiego, rzekomy świadek mordu dokonywanego przez Niemców, a w rzeczywistości świadek egzekucji z 1940 r.). Ja sam miałem okazję rozmawiać w Gniezdowie z sędziwym Michaiłem Kriwoziercowem, wymienionym jako świadek w komunikacie Burdenki [18]. Opowiadał, jak spędzano ich, świadków, przed komisję, dając do podpisania gotowe już oświadczenia. Podpisywali je, nie czytając. Ten sam Michaił Kriwoziercow wystąpił jako świadek w znanym filmie Marcelego Łozińskiego o Katyniu.

Co mówi jednak *Komunikat...* o tych świadkach, których zeznania przetłumaczyłem z *Amtliches...* i opatrzyłem komentarzem? *Komunikat...* wymienia ich wszystkich (pomyłki czy

[18] Tamże.

rozbieżności transkrypcji nazwisk sygnalizowałem w przypisach) uznając dwu za zmarłych między kwietniem a wrześniem 1943 r. (Godunow i Silwierstow), co jest prawdopodobne biorąc pod uwagę działania wojenne, ale raczej należy sądzić, że zostali oni rozstrzelani przez NKWD, skoro nie podano przyczyny śmierci. O trzech mówią, że ewakuowali się z Niemcami (Andriejew, Żygulew, Kriwoziercow), co w wypadku Andriejewa i Kriwoziercowa jest potwierdzone zeznaniami tego ostatniego przed komisjami polskimi. Dwaj świadkowie, Kisielew i Zacharow, zatrzymani przez NKWD, zostali „spreparowani" przez komisję Burdenki, i ich rzekome, wymyślone przez komisję zeznania, figurują w komunikacie.

Zeznania te są właściwie monotematyczne, zawierają przede wszystkim opis gróźb, przymusów i tortur, stosowanych przez Gestapo wobec tych dwu świadków. Pomysł z Gestapo źle świadczy o trosce o wiarygodność komunikatu, gdyż Gestapo nie miało nic wspólnego z komisjami niemieckimi w sprawie Katynia (jedynie Żandarmeria Polowa). Co o tym sądzić, mówił Kriwoziercow w przytoczonym wyżej zeznaniu. Interesujące, że pierwsze przesłuchanie Kisielewa przez Niemców komunikat Burdenki datuje na jesień 1942 r. Oznacza to spreparowanie tej daty tylko na podstawie pomyłki w *Amtliches...*, którą sygnalizowałem wyżej. Jedyny konkretny ślad niemieckiego źródła. Jeszcze co do rzekomych tortur Gestapo: jeśli przyjrzeć się postaci Kisielewa w filmie sowieckim, zeznającego w ramach dochodzeń komisji Burdenki, wymizerowanego, ogolonego jak więzień, bez zarostu i majestatycznej brody, którą obnosił jeszcze tak niedawno, na zdjęciach z wiosny 1943 r., nie ma wątpliwości, że w komunikacie Burdenki opisano własne metody, stosowane wobec Kisielewa, przypisując je Niemcom. Trzeba dodać, że Zacharow i Kisielew zniknęli z pola widzenia po styczniu 1944 r. Zostali albo rozstrzelani, albo umieszczeni w ciężkich więzieniach na dożywocie. Ze świadków, którzy ewakuowali się z Niemcami, znany jest los Kriwoziercowa. Jak to pokazałem, zachowywał się on na emigracji wyjątkowo aktywnie. Jego tragiczna śmierć w 1947 r. w Szkocji musi być uważana za skrytobójcze morderstwo, wykonane przez agentów NKWD [19]. Los Andriejewa i Żygulewa mógł być podobny, gdyż agenci NKWD do spraw katyńskich posuwali się za frontem, poszukując różnych świadków. Nic jednak bliższego na ten temat — jak dotąd — nie wiadomo.

[19] Por. artykuł J. Mackiewicza, *Tajemnicza śmierć Iwana Kriwoziercowa, głównego świadka zbrodni katyńskiej.* (w:) *Katyń. Wybór publicystyki 1943—1988* i *Lista katyńska,* Londyn 1988.

W ten sposób sprawa świadków, zeznających przed komisjami niemieckimi, została przez NKWD zlikwidowana.

Sfabrykowanie zeznań świadków rosyjskich dla potrzeb komisji Burdenki nie ulega żadnej wątpliwości. Nie jest pewne w świetle dotychczas posiadanych informacji, czy zostali oni zaprezentowani „fizycznie" jakimkolwiek innym obserwatorom zewnętrznym, poza tymi w sowieckim filmie o Katyniu, w sekwencjach dotyczących dochodzeń komisji Burdenki. Tam właśnie rozpoznałem ogolonego Kisielewa.

Wygrana wojna i zdławienie oporu Polski oraz wynik układów jałtańskich, potwierdzonych w Poczdamie, wyjątkowo rozzuchwaliły Związek Sowiecki, który postanowił wnieść sprawę Katynia pod orzecznictwo procesu norymberskiego. Wiadomo, że strona sowiecka przedstawiła tam kilku odpowiednio przygotowanych świadków (dr Prozorowski z komisji lekarskiej Burdenki, prof. Bazylewski ze Smoleńska i odpowiednio „spreparowany" członek Międzynarodowej Komisji z 1943 r., powołanej przez Niemców, Bułgar dr Markow). Wynik jednak był kompromitujący dla prokuratorów sowieckich. Epizod ten nie jest dostatecznie opisany, zwłaszcza od strony dokumentacji sowieckiej. Ostatecznie w procesie norymberskim sprawa Katynia nie znalazła się w orzeczeniu końcowym. To sprawy świadków katyńskich e p i l o g d r u g i.

Dla dopełnienia tej „konkluzji" zarysuję w kilku zdaniach sytuację, jaka trwała od procesu norymberskiego po dzień dzisiejszy. Sporadycznie, przez emigrantów rosyjskich, dociera na Zachód kilka nie sprawdzonych informacji, mających związek z Katyniem. Można je znaleźć w literaturze poświęconej Katyniowi. Sytuacja zmienia się radykalnie od 1989 r., gdy w najwyższych kręgach władzy w Związku Sowieckim dojrzewa decyzja ujawnienia prawdy o Katyniu. Rozluźnienie obręczy politycznej powoduje akcję informacyjną, związaną przede wszystkim z organizacją „Memoriał" oraz pracą kilku archiwistów rosyjskich, przebijających się bez zezwolenia lub z zezwoleniem najwyższych władz do dotąd zakazanych archiwów (Zoria, Lebiediewa). Nie są to świadkowie, dzięki nim jednak ujawnione zostają nazwiska niektórych wysokich, żyjących jeszcze urzędników NKWD, którzy ponoszą odpowiedzialność za mord katyński (Soprunienko, Tokariew). Jednocześnie w miejscowościach, w których — lub obok których — odbyła się kaźń oficerów polskich (Charków, Twer, Miednoje, okolice Lasu Katyńskiego, Smoleńsk, Gniezdowo) okoliczna ludność lub dawni pracownicy NKWD, indagowani przez dziennikarzy lub członków „Memoriału", ośmielają się udzielać fragmentarycznych

informacji. Przypomnieć należy poszukiwania prowadzone przez redaktora pisma „Moskowskije Nowosti" G. Żaworonkowa[20]. Dzięki różnym odnalezionym świadkom zostają zasygnalizowane miejsca mordu Polaków z obozu w Starobielsku i Ostaszkowie. To zapowiada e p i l o g t r z e c i.

Ostatni etap związany ze świadkami rosyjskimi dotyczy śledztwa prowadzonego oficjalnie przez prokuraturę Armii Czerwonej, wspomaganą przez śledztwo posiłkowe prokuratury generalnej RP. W ramach tego śledztwa doszło do wstępnych ekshumacji w Charkowie i Miednoje, potwierdzających całkowicie, że są to miejsca pogrzebania polskich jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa.

Doszło także — mimo upływu półwiecza od popełnienia przestępstwa — do zeznań pracowników bardzo wysokiego szczebla NKWD, współodpowiedzialnych za mord na jeńcach polskich. Należy to uznać za okoliczność wyjątkową, i takiż kaprys historii. Inna sprawa, że fakt ten nie został jeszcze w pełni wykorzystany, o czym za chwilę.

Tak jak światem żydowskim wstrząsnęła na początku lat sześćdziesiątych wiadomość o ujęciu w Argentynie zbrodniarza centralnego szczebla, odpowiedzialnego za organizowanie masakry Żydów, czyli *Endlösung*, Adolfa Eichmanna, tak na początku lat dziewięćdziesiątych okazało się, że żyją w Rosji Eichmanni sowieccy, Rosjanie, odpowiedzialni za planowanie i udział w mordzie popełnionym na oficerach polskich.

Zostali przesłuchani jako świadkowie funkcjonariusze NKWD: wspomniany tu już Piotr Karpowicz Soprunienko, szef wydziału NKWD do spraw jeńców wojennych (który podpisał część tzw. list wysyłkowych na miejsce kaźni), emerytowany generał major, a także szef kalinińskiego (dzisiaj znów Twer) NKWD — Dmitrij Stiepanowicz Tokariew, później generał bezpieczeństwa w Kazaniu. W okresie mordu na oficerach polskich obaj byli młodymi, świeżo powołanymi po czystkach aparatczykami. Tokariew przyszedł do Kalinina w grudniu 1938 r.; przedtem był kapitanem straży pogranicznej. Przyszedł — jak mówi — oswobodzić niewinnych (pełne więzienia!). W partii — od 1927 r. Soprunienko ma dziś 84, a Tokariew 90 lat. Obaj wywodzą się z warstwy nowej: Soprunienko ma pochodzenie robotnicze, Tokariew — chłopskie. I reprezentować mieli nową, komunistyczno-totalitarną moralność i umysłowość.

[20] Relacje z tego okresu poszukiwań, m.in. z publikacji wypowiedzi świadków, odnalezionych przez G. Żaworonkowa, zamieściłem w kilku artykułach, opublikowanych w: *Katyń. Problemy i zagadki. Zeszyty katyńskie nr 1*, Warszawa 1990. Por. zwłaszcza *Katyń a źródła sowieckie*.

Zeznania ich nie są równej jakości. Pamięć Tokariewa jest znakomita, a tok jego opowieści niewiele odbiega od zeznań, jakie moglibyśmy usłyszeć od człowieka w pełni sił intelektualnych. Wie, co mówi, nie znaczy to, że mówi wszystko, co wie. Soprunienko — choć młodszy — wydaje się częściowo intelektualnie zdegradowany, ale być może na tym właśnie polega jego taktyka obrony przed spodziewanym oskarżeniem o współudział w morderstwie. Toteż słowa, jakie najczęściej można od niego usłyszeć jako odpowiedź na zadawane pytania, brzmią: *nie znaju, nie pomniu.* Oślepły na starość Tokariew — przypomina sobie wiele, potrafi odtworzyć wszystkie elementy mordu i jego organizacji, ale podkreśla stale, że nie brał udziału w samej operacji. Dorzućmy, że sam status tych przesłuchań to przesłuchania świadków, nie oskarżonych. To właśnie uważam za niepełne wykorzystanie możliwości przesłuchań, nie ze względu na samo oskarżenie, ile szczegółowość i czas trwania przesłuchań.

Taśmy dźwiękowe i taśmy wideo to nowy współczesny materiał źródłowo-archiwalny. Spędziłem kilka bardzo trudnych dni słuchając wiele razy kilkugodzinnego nagrania z przesłuchań Soprunienki i Tokariewa. Zostały one wykonane w zeszłym roku. Mimo użycia profesjonalnej aparatury japońskiej (Panasonic) jakość nagrania jest chwilami zła, głosy rozmówców krzyżują się, zeznający nie mieli prawdopodobnie osobnych mikrofonów, działał tylko główny mikrofon kamery. Muszę zaznaczyć przy tym, że korzystałem z kopii samej ścieżki dźwiękowej, byłem więc w sytuacji o wiele mniej korzystnej niż dziennikarz londyńskiego „The Observer", który pisze, że artykuł swój o tych funkcjonariuszach NKWD oparł na znajomości posiadanej przez gazetę kopii kasety wideo [21]. Dziennikarz moskiewskich „Izwiestii" swoją relację również oparł na wideokasecie [22]. Dlaczego polski historyk jest tak upośledzony w stosunku do angielskiego i rosyjskiego dziennikarza?

Obecne uwagi są tylko dodatkiem do tematu, który miał się ograniczyć do czasów wojny i bezpośredniego okresu powojennego, dodatkiem wymuszonym przez rozwój sytuacji i pojawienie się nowego materiału dowodowego. Ale jak już powiedziałem — tylko zeznanie Tokariewa rozszerza naprawdę naszą wiedzę, i to rozszerza znacznie. Mam nadzieję, że zeznania te będą przedmiotem osobnego, bardzo starannego opracowania wraz z wydaniem ich jako źródeł. Mogę dać tu tylko skrótową relację o zeznaniach tych dwu świadków. Chciałbym także powiedzieć kilka słów o nasuwających się refleksjach natury ogólnie historycznej, ale i moralnej, filozoficznej.

[21] N. Bethell, *His confession* (Tokariewa) *has been recorded on videotape, a copy of which is now in „The Observer's" possession,* „The Observer" 1991, nr 10434 (6 X).

[22] J. Orlik, *Nowyje dokumienty o rasstriele 15 000 polskich wojennoplennych organami NKWD,* „Izwiestija" 1992, nr 79 (2 IV).

Wiadomości o faktach uzyskane w zeznaniach, zwłaszcza Tokariewa, po raz pierwszy wprowadzają nas w przebieg spraw, których piszący o zbrodni mogli się dotąd tylko domyślać. Można te fakty różnie szeregować, ja posłużę się porządkiem formalnym. A więc najpierw sprawa powzięcia decyzji o rozstrzelaniu oficerów polskich. Tokariew zeznaje o zebraniu w Moskwie w marcu 1940 r., gdzie zgromadzono kierowników obozów dla polskich jeńców (Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk) oraz szefów NKWD kalinińskiego, charkowskiego i smoleńskiego, ich zastępców i podlegających im komendantów grup wykonujących wyroki śmierci. Na zebraniu tym zastępca Berii i Mierkułowa, Kobułow, oznajmił, że według decyzji wyższej instancji „niektórzy" (w praktyce prawie wszyscy) oficerowie ze Starobielska i Kozielska oraz policjanci i reprezentanci innych służb znajdujący się w Ostaszkowie — mają być rozstrzelani. Słowo „niektórzy" okazało się eufemizmem, gdyż decyzja dotyczyła około 15 000 ludzi. Tych ludzi, których przesłuchania w obozach przez pracowników OSO odbywały się już od grudnia 1939 r. O tej decyzji zawiadamiało krótkie pismo (1/4 strony) „wyższej instancji", które „obiegiem" pokazano zebranym.

Jak wynikałoby jednak z materiału dowodowego, sama decyzja została chyba powzięta już w lutym 1940 r., dokładnie po 20 II. Jeszcze bowiem tego dnia Soprunienko pisze do Berii wniosek o zwolnieniu części oficerów (np. chorzy i inwalidzi) i przekazaniu reszty do dyspozycji OSO. Ale już 23 II pisze drugi list do kierowników obozów o przekazaniu wszystkich oficerów do więzień i dyspozycji OSO: Smoleńska, Kalinina i Charkowa. Po co, jeśli śledztwo w obozach było już zakończone? I na dodatek z zachowaniem tajności. Jeśli moje domniemanie jest słuszne i decyzję powzięto w lutym, kwiecień był i tak najwcześniejszym miesiącem rozpoczęcia egzekucji ze względu na konieczność zrobienia w zamarzniętej ziemi głębokich i wielkich wykopów, przeznaczonych na tysiące trupów. Dlatego zebranie operacyjne mogło, i musiało, „zaczekać" aż do marca.

Mówiąc, że decyzję rozstrzelania powzięła „wyższa instancja" Tokariew dorzuca: „to w cudzysłowie", tak jakby można było się domyślać, kto zdecydował. Przyciśnięty zeznaniem Tokariewa, Soprunienko przyznał się, że był na tym zebraniu,

ale przyznał się tylko do obecności. Tokariew natomiast określił Soprunienkę jako jednego z referentów decyzji i sprawy rozstrzelania. Według Soprunienki pokazana zebranym uchwała pisemna (Politbiura?), w jednym egzemplarzu, miała może nawet parafę samego Stalina. Soprunienko mówi, że nie pamięta, czy podpis Stalina był złożony ołówkiem czy piórem. Na pytanie Tokariewa o tajność operacji (czy może być powiadomiony pierwszy sekretarz partii rejonu), Kobułow powiedział, co Tokariew dokładnie przytacza: „Nie może pozostać ani jeden żywy świadek". Według Tokariewa zebranie liczyło około 15 osób, Soprunienko uważa, że było ich nieco mniej (8—12). Odbyło się — potwierdzają to obaj przesłuchiwani — w marcu. Tokariew mówi jednak, że nie pamięta dnia.

Kobułow został rozstrzelany w 1953 r., dwaj jego rozmówcy — przeżyli.

Podstawową grupę faktów ukazujących stronę operacyjną i niektóre szczegóły mordu dokonanego w Kalininie na jeńcach z Ostaszkowa odsłonił w swoim zeznaniu Tokariew. Brak zresztą świadków, którzy mogliby skorygować jego słowa. Tak czy inaczej — odchylenia mogłyby zapewne dotyczyć tylko odpowiedzialności osobistej naczelnika kalinińskiego NKWD.

Z Moskwy przyjechali do Kalinina kaci, stanowiący grupę operacyjną: Siniegubow, Błochin, Kriwienko. Ludzie ci, którzy mieli rozstrzeliwać polskich jeńców, to oficerowie wysokiej rangi, np. Kriwienko był kombrygiem, Siniegubow miał aż „dwa romby", jako starszy major NKWD i naczelnik Gławnogo Uprawlenija wojsk konwojowych, Błochin był komendantem NKWD. Jak objaśnił Tokariew, funkcja komendanta polegała na wykonywaniu wyroków. Z Moskwy sprowadzono koparkę mechaniczną z operatorem Antonowem i jego pomocnikiem — do codziennego kopania dołów na trupy, a miało być tych dołów około dwudziestu pięciu. Resztę członków operacyjnego „komanda" rekrutowano w Kalininie. Broń, którą rozstrzeliwano: pistolety Walther 2 (i amunicja), została przywieziona w walizce z Moskwy. Grupa Błochin, Siniegubow, Kriwienko mieszkała w specjalnej salonce na bocznicy stacji kolejowej.

Do Kalinina przewieziono wszystkich więźniów Ostaszkowa, prócz niedużej grupy (ponad 100 osób), która miała znaleźć się w Griazowcu. Była wśród nich także niewielka liczba zwerbowanych przez NKWD agentów; ich wydzielenie z transportów zalecały specjalne pisma z centrali. Jeńców z Ostaszkowa dostawiano do Kalinina w wagonach więziennych i ze stacji karetką przewożono do więzienia NKWD. Rewizja, podczas której odebrano pieniądze i kosztowności, została dokonana wcześniej, już w łagrze ostaszkowskim, tak że więźniowie czekali tylko na egzekucję. Więzienia były przepełnione, mówił o tym Tokariew na dowód, że nie mógł przyjmować wcześniej jeńców z Ostaszkowa do dyspozycji OSO. W czternastu więzieniach przebywało bowiem 6 tys. więźniów sowieckich. I nie było „ani jednego miejsca wolnego". Teoretycznie, mówi Tokariew, według normy około 2 m² na więźnia (gdyby była realizowana) trzeba było wygospodarować około 500 m² na transport 250 ludzi. „Jakoś się pomieścili" — dodaje Tokariew. Można się więc domyślać, że oczekujący na egzekucję więźniowie byli gromadzeni w celach — jak wynika z tych niezbyt jasnych słów — w potwornej ciasnocie. (Pamiętamy, że w stołypinkach jadących do Gniezdowa normy były przekraczane co najmniej trzykrotnie). Z tych zatłoczonych cel jedyna droga prowadziła na rozstrzelanie. Tokariew przypomniał jeden wyjątek, więźnia Michała Romma, noszącego identyczne nazwisko i imię jak sowiecki reżyser filmowy Michaił Romma (jego krewny). Po telefonie specjalnym z Moskwy z sekretariatu Kobułowa do Tokariewa — Romma wycofano w ostatniej chwili z egzekucji. Jedyny znany nam podobny przypadek zdarzył się na stacji w Gniezdowie, a ocalałym jeńcem był Stanisław Swianiewicz.

Rozstrzeliwano w nocy w podziemiach czteropiętrowego gmachu NKWD przy ulicy Sowieckiej 2, w specjalnie przygotowanym dźwiękochłonnym pomieszczeniu, o co zadbał Błochin. Drzwi po drodze do „kamery" i w niej samej uszczelniono wojłokiem z wielbłądziej sierści. Błochin też opracował szczegóły mordu. Jak mówi Tokariew, początek egzekucji oznajmił Błochin słowami: *Nu, pojdiom, naczinajem!* Więźnia prowadzono korytarzem do tzw. *krasnogo ugołka*, czyli „pokoju leninowskiego" *(leninskaja komnata)*. Były tam afisze (i zapewne gipsowy posąg Lenina). *Ugołok* był obszerny (5 x 5 m). Tokariew przyznaje, że był tam 2—3 razy, gdy prowadzono Polaków na śmierć. Tam właśnie, w *krasnom ugołkie*, sprawdzano pobieżnie tożsamość, pytając więźnia o nazwisko i rok urodzenia. Po odkreśleniu go na liście zakładano kajdanki i prowadzono pojedynczego skazańca do niezbyt już odległego, niedużego pomieszczenia — „kamery", gdzie miał być rozstrzelany. Tokariew formalnie stwierdził, że skazańcom nie odczytywano wyroku OSO. Przy egzekucji nie było dodatkowego sądowego świadka i prokuratora.

Tokariew twierdzi, że nie widział rozstrzeliwań. Wśród wielu pytań, których zabrakło w trakcie przesłuchania, nie padło także pytanie o reakcję więźniów w ostatnich chwilach. Że po

założeniu kajdanek mogli już domyślać się swego losu, a nawet mieć jego pewność, świadczy przykład skazańca, który powiedział wtedy, że w pasie ma zaszyte 25—30 złotych monet. Tokariew zdaje się sugerować, że skazany chciał się w ten sposób wykupić (a może tylko opóźnić egzekucję). Na pytanie śledczego, czy rozstrzeliwały trzy osoby, jak to relacjonowały gazety o Niemcach, Tokariew odniósł się z politowaniem do wersji gazetowych, mówiąc, że więzień wchodził i po prostu dostawał strzał w potylicę *(rasstrieł kak rasstrieł... wot i wsie!)*. Moment ten możemy wypełnić tylko wyobraźnią i przypomnieniem niektórych relacji innych polskich więźniów, którzy przeżyli, a których stawiano twarzą do ściany z pogróżkami rozstrzelania.

Zwłoki wyrzucano z „kamery" przez dodatkowe drzwi, wprost na podwórze, gdzie czekały odkryte samochody ciężarowe — było ich 5—6. Ciała przykrywano brezentami, które po całej operacji Błochin kazał spalić. Pudła nadwozi myto co dzień. Egzekucje odbywały się nocą, a więc nocą też przewożono ciała (po 25—30 na jednym wozie) do zbiorowych dołów śmierci w lesie koło Miednoje. Miejsce wybrał Błochin — znajdowało się na zamkniętym terenie NKWD. Doły zasypywał koparką Antonow ze swoim pomocnikiem. Nie grzebano tu sowieckich obywateli po egzekucjach. W latach późniejszych, aby lepiej ukryć groby, miano na tym terenie postawić radiostację. Opowiadał o tym Tokariewowi jego następca Sinienkow (przekazując mu służbę Tokariew poinformował go o dołach śmierci).

W rozstrzelaniach brało w sumie udział około 30 enkawudystów. Prócz grupy Błochin, Siniegubow, Kriwienko egzekucje wykonywali nadzorcy więzienni i kierowcy, naczelnik wewnętrznego więzienia Cukanow i pomocnik Tokariewa Kaczyn. Wspomniany został też niejaki Suchariew. Wreszcie Sołogonow, przeniesiony potem z Tokariewem do Kazania. Szofer Tokariewa Suchyj chwalił się pewnego dnia, że „zdrowo się napracował". Inny szofer, Misza, także chyba rozstrzeliwał. A na pewno robił to urzędowy wykonawca wyroków śmierci w Kalininie, komendant Rubanow. Tokariew zdołał sobie przypomnieć nazwiska około dziesięciu katów. Wiemy, że jeszcze inny szofer, Bogdanow, woził trupy. Tak więc rozporządzenie operacyjne Kobułowa: „Ani jednego żywego świadka", było chyba realizowane przez tendencję czy pragmatykę, aby wszyscy byli odpowiedzialni. Z tego właśnie wynikła sprawa z szoferem, Miszą, o czym dalej.

Podczas jednej nocy rozstrzeliwano najwyżej 250 jeńców. Ustalono tak po doświadczeniach pierwszego transportu, liczącego około 300 więźniów, na egzekucje których noc okazała się za krótka, toteż zakończono je już po wschodzie słońca. Jak mówi Tokariew, noce były krótkie, coraz krótsze, a więc spieszono się. Jeśli przyjąć, że noc trwa osiem godzin (pod koniec kwietnia pod tą szerokością geograficzną noce były na pewno jeszcze krótsze), oznacza to rozstrzeliwanie co dwie minuty jednego więźnia. Produkcja taśmowa, wymagająca — mówiąc obrazowo — synchronizacji ze stoperem. W tym przynajmniej przypadku wyobrażenia o chaosie organizacyjnym systemu sowieckiego upadają całkowicie.

Łatwo też obliczyć, że przewiezienie trupów wymagało około dziesięciu kursów, jeśli więc było pięć samochodów, przypadały dwa kursy nocne na szofera. Dwa razy po około 50 km (tam i z powrotem) nocą, po nienajlepszej drodze i jeszcze czas „wyładunku". Trupy wrzucano bezładnie *(w odnu kuczu)*. Jeżdżono grupami, po kilka samochodów, by uniknąć ryzyka awarii samotnej ciężarówki. Musiał więc chyba istnieć harmonogram, żeby umożliwić kierowcom udział w rozstrzeliwaniu. W akcji grzebania brało udział około dziesięciu osób.

Technika mordu była podobna jak w Katyniu: strzał z pistoletu w potylicę. Tokariew opowiedział, jak wyglądał Błochin przygotowany do mordu: wysokie skórzane buty, czapka skórzana, obszerny skórzany fartuch i rękawice sięgające za łokcie. Bronią opiekował się Błochin, wydawał ją przed egzekucją i zbierał po jej zakończeniu. Picie wódki przed pracą („pracą" oczywiście w cudzysłowie, jak skomentował Tokariew) było zabronione, pito po egzekucji, a więc pewnie nad ranem (alkohol kupował Błochin całymi skrzynkami).

Po wykonaniu całości zadania, czyli likwidacji Ostaszkowa, kaci urządzili ogólną libację we wspomnianym wagonie-salonce. Tokariew utrzymuje, że nie brał w niej udziału. Została sporządzona lista przedstawionych do nagrody (w trzech komandach katów — trzy obozy — zasłużyło na nią 143 enkawudystów). Na świeżo zakopanych dołach śmierci w Miednoje postawiono strażnika, nazywał się Sorokin.

Nastojaszczaja industrija

Nawet dla zainteresowanego historią najnowszą, który naczytał się już relacji o ludobójstwie, także pochodzących od samych morderców, jak pamiętnik komendanta obozu oświęcimskiego Hössa czy relacje z procesu Adolfa Eichmanna, zeznania dwu wymienionych enkawudystów, zwłaszcza Tokariewa, o wiele bardziej rozmownego i rozluźnionego, są jednak

faktem porażającym. Dlatego przede wszystkim, że uzyskujemy — mimo powściągliwego i ostrożnego zachowania się świadków — mimowolnie przekazany wgląd w psychikę czerwonego ludobójcy. Jak podkreślali pilni obserwatorzy psychiki totalitarnych przestępców, m.in. Hannah Arendt na przykładzie procesu Eichmanna, nie mamy tu zgoła do czynienia z demonizmem zbrodni, przeciwnie: ze zbanalizowanym złem, zamienionym w rutynę służbową, niekwestionowane posłuszeństwo hierarchii służbowej, uznanie urzędowych nakazów i rozkazów, niecofnięcie się przed żadnym wymiarem zbrodni, nawet jeśli dokonuje się jej niechętnie.

Rzeczywistość totalitarna stała się ich chlebem powszednim i dniem codziennym. Istniejący system, od którego nie było odwołania — usprawiedliwieniem działań antyludzkich, wspartych nieludzką ideologią. Jeśli tam był nazizm, to tutaj — komunizm. Świadkowie to śrubki w maszynerii infernalnego zła, ale także — podmioty działające, nie pozbawione inicjatywy. Sądzę, że myślenie osobników w rodzaju Tokariewa (bo na nim przede wszystkim mogę się tu skupić) stanowi dobry przykład przeciętnej psychiki totalitarnej. A to ze względu na swoistą banalność tych ludzi, resztki banalnego, nieużytecznego człowieczeństwa, kołaczącego się w nich i wtedy, i we wspomnieniach.

I Soprunienko, i Tokariew stwierdzają, że po otrzymaniu wiadomości od Kobułowa o mających nastąpić egzekucjach poczuli się źle. Soprunienko mówi, że gdy zaznajomił się z pismem nakazującym rozstrzelania, zrobiło mu się słabo, nogi się pod nim ugięły, chwycił się za stół. Uważny Kobułow miał mu powiedzieć: „Co tak zbladłeś?". Wiadomość spadła na niego — jeśli wierzyć — jak grom z jasnego nieba. Tokariew zażądał osobnej rozmowy z Kobułowem, by powiedzieć, że takie zadanie go przerasta. Jeśli tak — usłyszał — to właściwie nie nadaje się na zajmowane stanowisko. Ale uzyskał zgodę, że w akcji może osobiście nie uczestniczyć. Poczuł się więc tak, „jakby mu kamień z serca spadł". Tokariew uzasadniał swoją reakcję rozmiarem operacji. Przyjmowali jednak panującą odpowiedzialność zbiorową i jej poglądy. Tokariew mówi np. że los policjanta (polskiego) mógł być jeden: rozstrzelanie *(był policejskim — eto dostatoczno cztoby jego rasstrielat')*. Odsunięcie odpowiedzialności czy zrzucenie jej na swojego zastępcę jest oczywiście u Tokariewa fikcją moralną. Ale opis odprawy u Kobułowa zdaje się ważny dla wglądu w psychikę uczestniczących w zbrodni.

Ich strach można jednak także tłumaczyć inaczej. Mianowicie świadomością spirali terroru, gdzie dzisiejsi kaci byli jutro usuwani jako niepotrzebni świadkowie. Ci młodzi aparatczycy wedzieli przecież o fizycznej likwidacji aparatu NKWD Jagody, później Jeżowa.

Zresztą zaskoczenia wobec tak zaplanowanego terroru nie można wykluczyć. Kto czytał zeznania Eichmanna, wie, że człowiek który żelazną ręką doprowadzał transporty setek tysięcy Żydów do Oświęcimia, nie wytrzymywał widoku egzekucji. Więc za zbanalizowane zło w zeznaniach rosyjskich Eichmannów uważam także te ich uwagi, w których donoszą oni o swoich „ludzkich" odruchach. Natomiast brak w ogóle wzmianek, które — choćby po latach — mogły świadczyć o głębszych i zasadniczych ocenach systemu i reakcjach moralnych. Tokariew powtarza dziś tylko takie puste słowa, jak tragedia, wielkie nieszczęście. I jeszcze: „Jak lekko stanowiono o ludzkim życiu". Podsumowując Tokariew szczerze określa swój dyskomfort moralny: „bardzo przykro". Soprunienko zaś, zapytany, co może ogólnie powiedzieć, odpowiada: „nie mogę nic powiedzieć, mogę tylko ubolewać".

Część katów zapłaciła jednak cenę moralną, którą Tokariew wiąże z operacją na jeńcach polskich: Pawłow, zastępca Tokariewa (podobno jednak nie rozstrzeliwał) — zastrzelił się, tak samo Błochin, Suchariew, szofer Suchyj, Cukanow zaś popadł w obłąkanie. Sołogonow, przeniesiony wraz z Tokariewem do Kazania, rozpił się, i po wódce, wywnętrzając duszę, według zeznań pracownicy Tokariewa — Mieniajewej, mówił: *„Skolko ludiej proszło czeriez moi ruki, odnich polakow skolko!"*

Tokariew prowadzi swą obronę w ten sposób, że odbył cytowaną rozmowę z Kobułowem, by odżegnać się od osobistego udziału. Zlecił czynności służbowe swemu zastępcy, Pawłowowi. Czy było to w ogóle możliwe? Czyż cała operacja nie odbywała się przy jego wiedzy i ogólnej kontroli? Gdyby tak nie było, byłby tym niepotrzebnym „żywym świadkiem", o którym wspominał Kobułow. Podkreśla to właściwie Tokariew odpowiadając na pytanie śledczego, czy nie mógł odmówić, jeśli uznał to za niesprawiedliwe? I każe zastanowić się śledczemu: *Nachodił ja eto niesprawiedliwym, a czto ja mog sdiełat' i drugije?* „Co mogłem ja i inni?' *Podumajtie sami!* Powtórzmy: Tokariew musiał niewątpliwie z urzędu odpowiadać za całość operacji, choćby nawet pilnował tego jego zastępca. Tak zwane listy wysyłkowe podpisywane przez Soprunienkę, w istocie listy śmierci, kierowały więźniów właśnie do dyspozycji naczelnika kalinińskiego NKWD.

Co najmniej trzy razy Tokariew śmieje się podczas tego

strasznego przesłuchania. Twierdzi, że nie poszedł na libację w salonce, ale oglądał kata w jego stroju, i dziś jeszcze zna każdy zakręt drogi więźnia do dźwiękochłonnej „kamery". Szkoda, że prokurator przesłuchujący Tokariewa interweniuje tak często, nie pozwalając mu na jeszcze większe rozluźnienie się. Ale — gdy Tokariew po raz któryś mówi o kłopotach z rozstrzelaniem pierwszego, zbyt licznego transportu z Ostaszkowa, mówi: *Wriemieni nam nocziu nie chwatiło,* by zaraz poprawić się: oczywiście nie NAM, bo ja nie miałem z tym nic wspólnego. Tak dalece nie miał nic wspólnego, że nawet nie wiemy, czy więźniowie oczekujący na egzekucję otrzymali porcję wody po strasznej podróży.

Określenie użyte w podtytule: „prawdziwy przemysł", zbrodni oczywiście, nie pochodzi ode mnie. Użył tego określenia sam Dmitrij Stiepanowicz Tokariew: *nastojaszczaja industrija...* Powiedział tak, relacjonując, że wobec rozstrzeliwań, przekraczających w Twerze zwykłą miarę, do kopania i zasypywania dołów na trupy — a miało być ich ponad dwadzieścia — użyto nowoczesnego wtedy narzędzia: ekskawatora, czyli koparki mechanicznej. Nazywała się zresztą ładnie: „Komsomolec". Przypomnijmy jednak słowo *tiechnołogija,* które pada wyżej. Dodam tutaj, że jak wynika ze wspomnień gen. Grigorienki, ogłoszonych jakiś czas temu na Zachodzie, to Rosjanie wymyślili pierwsi ruchome komory gazowe w samochodach, jakich potem używało SS w Chełmie. Działo się to w latach trzydziestych w Omsku; tak przygotowane karetki wykorzystywano do masowego mordowania chłopów.

Jeszcze: ludzkie odruchy. Owszem jest jedno wspomnienie, do którego Tokariew powraca dwa razy. Na dwukrotne pytanie, czy rozmawiał z polskimi więźniami, opowiada o żołnierzyku KOP, osiemnastoletnim chłopcu. Zapytał go, ile ma lat: — Osiemnaście. — Jak długo służył? — Sześć miesięcy. — Czym był? — Telegrafistą. — Jego śmierć musiała i wtedy poruszyć komendanta NKWD, wydać się Tokariewowi niesprawiedliwą, bo w końcu każdy ma ukryte głęboko w sobie odruchy dzieciństwa. Przypomina mi to ten fragment pamiętnika Hössa, gdzie mówi on, że pewnego razu odwlekał jak mógł najdłużej wejście do komory gazowej dwojga ślicznych żydowskich dzieci, ale w końcu, aby nie dawać złego przykładu SS-manom, sam zaprowadził je do gazu. *Nastojaszczaja industrija...*

Jako przykład swojej postawy — możemy się domyślać, że uważa ją za humanitarną — przypomina Tokariew szofera, który odmówił udziału w „operacji". „Wezwałem go i namówiłem, żeby się nie uchylał" — mówi Tokariew. „Wiesz, że jesteś komunistą" — powiedział szoferowi. — „Musisz wypełnić rozkaz". — „Wziąłem grzech na duszę w celu ocalenia człowieka". I onże Misza został ocalony w ten sposób od rozstrzelania.

Przy zatwierdzaniu i podpisywaniu zeznań Tokariew przypomniał sobie relację — nie pamięta, od kogo ją zasłyszał — o katyńskiej metodzie rozstrzeliwań: nad grobami. Uważa to za powód zdekonspirowania Katynia (krzyki więźniów i strzały dochodzące do okolicznej ludności). I schodzi z jego warg określenie organizatorów tamtej operacji: *postupili głupo... nieskolko!* Trochę głupio! Oznacza to tylko, że tu, w Kalininie, u niego, wszystko było dobrze zorganizowane, nocą, nikt o niczym się nigdy nie dowiedział. Wychodzi z Tokariewa fachman, ten sam typ człowieka, który był duszą nazistowskich obozów zagłady. Głupio! Powiedziałby może to samo o niektórych metodach nazistowskich, jak rozstrzelania uliczne czy wywożenie polskiej elity do Palmir. Głupcy! I wszyscy wiedzieli o tym prawie od razu. Natomiast Polacy w ZSRR byli rozstrzeliwani w tajemnicy więzień, ginęli w oddalonych łagrach. Pozwalało to Stalinowi trzymać fasadę i bredzić o Polakach, że uciekli do Mandżurii, w same oczy Sikorskiemu i Andersowi, a oni potrafili tylko milczeć.

Na koniec. Dlatego dowiedzieliśmy się, że strażnik świeżych dołów śmierci w Miednoje nazywał się Sorokin, gdyż pilnował on jednocześnie daczy komendanta, tzn. samego Tokariewa, oddalonej o około 500 metrów. Tokariew po 50 latach pamiętał co do jednego liczbę rozstrzelanych więźniów: według niego nie 6287 — lecz 6295. Dodaje do tego: *i odin bandit!* Gdyż rozstrzelano też tam zbuntowanego sowieckiego dezertera. Wspomnienie ponad 6 tys. więźniów rozstrzelanych w ciemnicy jego więzienia i pochowanych tuż obok jego daczy nie uniemożliwiało odpoczynku dobremu enkawudyście Tokariewowi, choć używał jej rzadko, wolał tę drugą. Höss też odpoczywał w swoim domu na terenie obozu oświęcimskiego, w kwiatach. Jak widać jest kilka gatunków ludzi, i jak widać, nie są oni równi, choć może rodzą się równi. Ale i to nie jest pewne. Niektórzy rodzą się w pobliżu *anus mundi,* odbytnicy świata, jak nazywał jeden z esesmanów obóz oświęcimski. Na całym świecie, każdy ustrój totalitarny, nim przerobi miliony ludzi na gnój, umieszcza najgorsze, najsłabsze charaktery na dnie moralnym.

Pamiętając o Eichmannie i Hössie Willy Brandt upadł na kolana przed pomnikiem powstania w getcie warszawskim. Żaden z przywódców rosyjskich, pamiętając o stalinowskich Eichmannach, nie padł jeszcze na kolana, by przeprosić naród

polski. Nim tego nie zrobi, żadna reforma w kraju, przeżartym duchowo totalitarnym złem, nie będzie mogła się udać. Nim tego nie zrobi, żaden przywódca rosyjski nie będzie moralnym partnerem któregokolwiek polskiego prezydenta. Jednym z gestów tego typu mógłby być proces rosyjskich, stalinowskich zbrodniarzy, winnych ludobójstwa na narodzie polskim.

Jak wiadomo, świat dowiedział się bardzo wiele o szczegółach popełnianych przez Niemców eksterminacji od oskarżonych i świadków w procesie norymberskim. Związek Sowiecki, zwyciężony nie przez jakąś zwycięską koalicję, lecz przez Historię, jak dotąd, nie przeprowadził swego „procesu norymberskiego". Póki tego nie ma, trwa jeszcze stara, przewalająca się w spazmach poststalinowska Rosja.

Istnieją Rosjanie, którzy sobie to uświadamiają. Na sympozjum w Salzburgu (marzec 1992) Siergiej Kowalow, przewodniczący moskiewskiej fundacji „Memoriał", powiedział: „Musimy sobie uprzytomnić, że ideologia totalitaryzmu nie została do Rosji zawleczona z zewnątrz, lecz tam się zrodziła. Przez siedemdziesiąt lat pokolenia moich rodaków ją wspierały, walczyły i ginęły za nią, a nawet ją eksportowały. Mylą się bardzo ci wszyscy dysydenci, którzy twierdzą, że nie mają z tym nic wspólnego. Ofiary same uczestniczyły w prześladowaniach. Taka jest historia: musimy ukazać ją ludziom, uznać ją i wstydzić się za nią. Pojęcie naszej narodowej winy jest nieusuwalne..." [23]

Liczba ofiar ludobójstwa obciążająca to państwo i system komunistyczny jest nie mniejsza niż w państwie nazistowskim Hitlera. Poza samym Związkiem Sowieckim to właśnie Polska poniosła największe ofiary z rąk ludobójców sowieckich. Dlatego o symboliczny proces na tle całości zbrodni, dotyczący wyjątkowego mordu, dokonanego na polskiej elicie wojskowej i intelektualnej — powinny upominać się stale nasze najwyższe władze [24]. Żadne aktualne problemy nie usprawierdliwiają lekkomyślności, z jaką zezwala się na tracenie przez naród dowodów jego historii. Prawdopodobnie każdy dzień zwłoki jest ważny.

Takie właśnie refleksje snułem słuchając wynurzeń uczestników zbrodni, Soprunienki i Tokariewa.

---

[23] Cytuję za: D. Warszawski, *Sprawiedliwość czasu przełomu*, „Gazeta Wyborcza" 1992 nr 97 (11—12 IV).

[24] W Archiwum Niezależnego Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej znajduje się wiele pism, petycji, oświadczeń i diagnoz wysyłanych w latach 1990—1992 do najwyższych czynników rządowych. Prawie regułą był brak na nie odpowiedzi.